



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 25 stycznia 1953

Nr 4 (374)

Janina KOLENDO

O pojmowaniu miłości bliźniego

*„Żadna pożoga wojenna nie odrodzi świata, jeżeli go od wewnątrz nie odmłodzi miłość, gdyż prawo miłości jest prawem bytu i na odwrót“
Ks. K. Michalski C.M.*

„bynajmniej nie wymaga zapewnienia o miłości uczuciowej, której się nie czuje, ale tylko o miłości duchowej“. „Miłość jest aktem woli“ przypomina dobitnie tenże autor.

TRUDNO chyba znaleźć katolika, który by otwarcie utrzymywał, że przykazanie miłości bliźniego stanowi tylko jedną z możliwych norm układania stosunków między ludzkich w ramach moralności chrześcijańskiej, że nie jest naczelną normą obowiązującą.

Ta norma prawa moralnego, której świadome przekraczanie grozi ostatecznymi sankcjami wyraźnie różni się od rad ewangelicznych, będących zaleceniem, ukazaniem drogi rozwoju wewnętrznego szczególnie stosownej dla niektórych tylko jednostek. Co więcej, ustawienie przykazania miłości bliźniego jako następnego po miłości Boga i warunkowanie nim rzeczywistego ukochania Boga — nie powinno zostawić jakichkolwiek wątpliwości, co do znaczenia tej normy.

A jednak ocena pojmowania miłości bliźniego na przestrzeni historii, jako normy powszechnie obowiązującej chrześcijan w stosunku do wszystkich ludzi niejednokrotnie wypadła krytycznie. (W rozważaniu niniejszym chodzi o pojmowanie, gdyż na fakt stosowania normy moralnej wpływają nie tylko intelektualne czynniki).

Wydaje się, że jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest wieloznaczność pojęcia miłości i pojęcia bliźniego występująca w codziennym, powszechnym ich rozumieniu. Głębokie ich ujmowanie w filozofii i teologii katolickiej najczęściej zbyt jednostronnie przenikało do umysłów ludzi wierzących. Nawet pobieżna analiza rozumienia przez wielu katolików pojęcia miłości wykazuje, że dopatrują się onaj w niej wyłącznie stanu uczuciowego. Trzymając się tradycyjnego podziału władz u człowieka cyjnego podziału władz u człowieka, ma rozum, uczucie i wolę, dodajmy, że uczucie jest najbardziej uwarunkowane biologicznie. W tym stanie rzeczy nie trudno czuć się w znacznym stopniu zwolnionym od pełnej odpowiedzialności za nieprzebieżanie miłości jako normy postępowania. Z braku rozróżnienia pomiędzy zasadą miłości jako normą prawa moralnego i miłością pojmovaną w sposób uczuciowy przy jednoczesnym uświadomieniu groźby utraty zbawienia za brak miłości — rodzi się nie mały w każdym myślącym katoliku konflikt. W dziejach kultury był on potęgowany przez prądy romantyzmu i sentymentalizmu.

Uczuciową interpretację obowiązku miłości dyskwalifikuje najjaskrawiej doświadczenie historyczne, dostarczające bogatego materiału dowodowego na jej nieprzydatność — w skali społecznej.

Stąd wynika stała potrzeba przypominania i wyjaśniania rzeczywistego znaczenia miłości chrześcijańskiej, która jak pisze O. Woroniecki —

Naszym postępowaniem winna zatem kierować miłość duchowa, która najbliższa jest pojęciu „dilectio”, miłości z wyboru, tej, która angażuje wszystkie władze człowieka, a więc i wolę. Dopiero takie rozumienie normatywnego charakteru miłości wyjaśnia rację istnienia sankcji za jej przekroczenie.

Takie pojmowanie miłości angażuje też w bez porównania większym stopniu władzę poznawczą człowieka, niż w wypadku wyłącznie uczuciowej jej interpretacji. Filozofia katolicka jednoznacznie domaga się poznawania przedmiotu miłości, którym w tych rozważaniach są ludzie — bliźni. Poznawanie ich obejmuje nie tylko opis zastanej rzeczywistości, ale i przewidywanie jakimi się stać powinni, jakie są ich możliwości, a co za tym idzie: jakie są ich potrzeby, którym z ich potrzeb możemy skutecznie w skali społecznej dopomagać i jakimi tę pomoc realizować środkami. W tym przewidywaniu wyrażać się będzie nasza wola poszanowania w nich tego, co jest lub może być dla nich dobre. Dobre, to znaczy służące pośrednio lub bezpośrednio ich celowi ostatecznemu.

W nieuchronnej konsekwencji tego rozumowania staje przed nami obowiązek pomagania bliźnim — w doczesnych potrzebach ich życia jak i pomagania im — w dostępnym dla nas sposób — do osiągnięcia zbawienia.

Sprawdzeniem właściwego kochania ludzi jest zatem odpowiedź następująca:

O ile pomagamy bliźniemu w polepszeniu warunków życia doczesnego?

O ile pomagamy im w ich drodze do zbawienia?

Kolejność tych pytań ma w tych rozważaniach przypomnieć iż życie nadprzyrodzone nie unicestwia porządku natury lecz na nim właśnie bazuje.*

Klasyczna definicja iż człowiek jest to zwierzę rozumne w teoretycznych rozważaniach przyjmowana była powszechnie, jednak nie wyciągano w pełni wniosków z tego określenia. Niejednokrotnie myślenie katolików było nacechowane próbami niedoceniania doczesności; jej słuszne, naturalne, wszystkim ludziom właściwe potrzeby — zapoznawano. W nauczaniu teologii moralnej na różnych

*) Zakłócenia w porządku naturalnym oddziałują na życie nadnaturalne człowieka. Znane są przykłady wskazujące na rozkwit życia nadprzyrodzonego w najbardziej trudnych i po luźku sadząc nader niesprzyjających warunkach. Prawa działania Pański są bowiem w istocie swej inne, niż działania praw doczesnych. I coby byłoby daleko idącym nieporozumieniem wyłączać stad wniosek że w imię dążenia do świętości należy ludziom odmawiać prawa do lepszych warunków bytu. Przeciwnie, także często złe warunki utrudniała a nieraz i wypaczała rozkwit życia nadnaturalnego w człowieku. Rozwija się ono bowiem na bazie natury, którą uszlachetnia i podnosi. Zatem godność szlachetność porządku naturalnego wpływa na rozkwit życia nadprzyrodzonego.

jej stopniach niekiedy wydawało się, że uda się zapomnieć o tym, że człowiek żyjący na ziemi nie jest i nie może być aniołem, bytem wyłącznie duchowym, że człowiek jest bytem różnym od anioła w swej istocie.

Konsekwencją tego błędu była troska o duchowość oderwaną od ludzkich potrzeb doczesnych.

Rzeczywistość przeżyła w sposób oczywisty takiej koncepcji człowieka.

Ludzie ekonomicznie i społecznie uprzywilejowani intensywnie i skutecznie wykorzystywali szansę zaspokajania stale rosnących własnych zarówno materialnych jak i duchowych potrzeb doczesnych. Tak właśnie powstała i rozwijała się niejednokrotnie imponująca, ale pojęta elitarnie — wysoka kultura duchowa. Równocześnie jednak zapoznawano istnienie tychże samych potrzeb u olbrzymiej większości ludzi.

Na przestrzeni dziejów w zakresie rozumienia ostatecznego celu człowieka można znaleźć mniemanie o swoistej predestynacji małuczkich i możnych tego świata: jednym t.j. tym, którzy mieli pozostawać w bardziej czy mniej prymitywnych warunkach doczesnych pozostawiono dochodzenie do Boga tylko na drodze stosunku fideistycznego; innym — przyznawano, jako niezbędną, możliwość posługiwania się intelektem. Słowem, prawo do troski o pełny rozwój wszystkich możliwości natury ludzkiej, zastrzeżono dla jednostek czy uprzywilejowanych grup społecznych.

Takie zwichnięcie wniosków z teologii moralnej rzutowane na klasową strukturę społeczną odegrało trzęsącą rolę, stwarzając fałszywe pozory, jakoby immanentnie było zawarte w teologii moralnej to, co wynikało z braku konsekwencji w stosunku do jej pierwszych zasad.

*

NOWY etap historii ludzkości wiąże się z gigantycznym postępem technicznym i z budzącą się na nieznaną dotąd skalę świadomością własnych potrzeb w masach społecznych, w tych samych masach, które od zdobyczy postępu były systematycznie odcinane.

Na tym etapie muszą się rodzić naglące pytania, czy wolno nam dłużej tolerować występujące u wielu ludzi pozorowanie bezużyteczności względnie szkodliwości owoców postępu dla rozwoju duchowego człowieka, czy istotnie troska o potrzeby doczesne nie w skali własnej rodziny ale w skali ludzkości, nie łączy się ze spełnianiem zasady miłości bliźniego?

Rodzą się wątpliwości, czemu w rezultacie służy, często niezamierzone ale faktyczne, niejako demonizowanie świata, które pozwala na prywatne praktyki doskonalenia się wewnętrznego, ale jest bezradnym rozkładaniem rąk wobec społecznej troski o bliźnich? Przy tej postawie jest rzeczą zrozumiałą oskarżenie katolików o bierność pochodzące ze strony ludzi, którzy czynią wysiłki, aby ten świat przemieniać, wyzyskując całą posiadaną o nim wiedzę.

Byłoby naiwnością oskarżanie ka-

tolików każdorazowo o złą wolę, obserwując brak społecznego realizowania przez nich obowiązku miłości bliźniego t.j. w warunkach współczesnych takiego organizowania życia, które ma ambicje gruntownej jego przebudowy na możliwie najbardziej sprawiedliwych zasadach, co umożliwiałoby zaspokajanie potrzeb wszystkich ludzi.

Działalność, którą określa się jako charytatywną czy filantropijną spełniała w pewnych epokach historycznych olbrzymią rolę społeczną.

Na obecnym jednak, wyższym etapie rozwoju cywilizacyjnego ludzkości — działalność filantropijna, jeśli występuje jako jedyna forma aktywności społecznej katolika, musi być uznana za społecznie niewystarczającą.

Zaniedbania katolików w zakresie społecznego realizowania miłości bliźniego są wielkie, i w poważnym stopniu wini tu trzeba sposób teoretycznego ujmowania tej zasady. Zrozumiało, że norma ta pojmovana wyłącznie jako pobudka do rozpalania uczuciowości nie wytrzymywała próby życia. Dla zwalczania skutków grzechu pierworodnego wręcz trzeba bowiem wszystkie władze człowieka.

Uczuciowa interpretacja miłości mogła być w jakimś stopniu przydatna w jednostkowych zbliżeniach między ludźmi, mogła wzmacniać jedną rodzinę, wiązać poszczególne jednostki z celami klasowymi narzucenymi przez określone wychowanie, nie była natomiast w stanie wystarczyć dla normowania innych więzi społecznych. Uczuciowo pojmovana norma w odniesieniu do związków społecznych przestawała być normą, stając się czymś w rodzaju nie zobowiązującego zalecenia.

Takie ujmowanie nie pociągało za sobą obowiązku poznawania wszystkich potrzeb ludzkich, rozum nie musiał dostarczać koniecznych przesłanek do działania, nie angażowało się woli bez względu na nastawienie uczuciowe, na przypiływy i odpływy nastrojów. Mówiąc po prostu: rzadko komu kojarzyła się np. miłość bliźniego z wymogiem wysiłku poznawczego w zakresie skutków działania praw gospodarczych, a wyniki badań nauk przyrodniczych nie były na ogół traktowane jako niezbędne dla poznania człowieka i jego potrzeb w skali powszechnej.

Dewiza: „Czyń każdy w swym kółku co może duch Boży a całość sama się złoży“ — choćby nie gloszona w tej wersji, wyraża typowy stosunek wielu wierzących do świata.

*

POJMując zasadę miłości bliźniego jako normę mającą regulować życie społeczne trzeba również dostrzegać pogłębiającą się treść słowa „bliźni”. Jednoznaczne w nauce moralnej, zmieniało ono niewątpliwie swoje społeczne zastosowanie w ciągu dziewiętnastu stuleci. Jego historyczny rozwój uwarunkowany jest rozwojem innych pojęć społecznych. Jasne jest, że inaczej w umyśle poszczególnej jednostki musiała się

W NUMERZE m. in.:

S. ŻUROWSKI — Atlantycka kwadratura koła.

W. SZKARADEK — LUBIASOWA — Konstruktor

J. DUŻYK — Reportaż o początkach Polski

S. SAK — W sprawie Otella

J. KRZYSZTOŃ — O Samuele Pepysie

SZ. DEREŃ — De Gaulle i gauliści.

kształtować treść pojęcia bliźnich, kiedy jednostka ta żyła w związku rodowym, a granicą jej świata była granica okolicznych lasów. Inaczej, gdy granicą świata była granica Imperium Rzymskiego, inaczej w dobie rewolucji przemysłowej, inaczej wręcz w czasach kiedy w godzinę po rzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę, wiadomość o tym dotarła do najodleglejszych punktów globu ziemskiego.

Na naszych oczach rozumienie potrzeb wynikających z treści pojęcia bliźniego staje się coraz szersze, coraz bardziej upowszechnia się przekonanie, że społeczna służba dobru bliźnich, musi wyjść poza ramy narzucone porządkiem klasowym i zrodzić zniszczeniem rasowym oraz narodowym.

Dążenie do społeczeństwa bezklasowego jest realizowane w praktyce i obejmuje docenianie potrzeb ludzi o wszystkich kolorach skóry i niepodzielonych przegrodami klasowymi.

Na obecnym etapie historii ludzkości nie można mówić o społecznym realizowaniu zasady miłości bliźniego, nie protestując jednocześnie przeciw wysiłkowi dokonywanemu przez klasy posiadające i przeciw gloryfikacji systemu kolonialnego, który opiera się na istnieniu narodów cywilizacyjnie zacofanych.

Nie wystarczy skądinąd zrozumiało — fundowanie ochronek dla sierot po poległych od bomby atomowej, kiedy ludzie mogą sprawić, że energia atomowa będzie służyła dobru ludzkości. Walka o właściwy użytek całej posiadanej wiedzy staje się koniecznym obowiązkiem w zakresie służby dobru człowieka.

Kiedy w wieku IV papież Leon Wielki upominał, że:

„bliźni to nie tylko związani przynajmniej lub pokrewieństwem lecz wszyscy ludzie“ stwierdzenie to w pewnym sensie miało tylko teoretyczne odniesienie. Dziś określenie „wszyscy ludzie” nabrało znaczenia dosłownego.

*

NAWET taka pobieżna analiza zasady miłości bliźniego służy przypomnieniu, że w teoretycznych rozważaniach — troski o duszę nie wolno odrywać od harmonijnego stosunku życia nadprzyrodzonego do rozwoju naturalnego jednostki. Każdy z nas chociażby na przykładzie własnego doświadczenia od okresu dzieciństwa do lat dojrzałych upewnia się o stopniu zależności rozwoju duszy od ciała.

Jednocześnie trzeba pokreślić, że troska o harmonię między naturalnym a nadnaturalnym życiem człowieka musi się odnosić do każdej jednostki w skali ludzkości, a nie tylko w skali klasy społecznej, narodu, czy rasy.

Prawda o celu ostatecznym człowieka jest niezmienna. Zmienne są natomiast formy istnienia doczesnego człowieka, poprzez które ma on realizować swój cel ostateczny. Za-

(Dokończenie na str. 5)

Stefan ŻUROWSKI

Atlantycka kwadratura koła

WE WSPANIAŁYCH salach Palais de Chaillot w Paryżu zebrało się w grudniu ub. roku ponad 40 ministrów spraw zagranicznych, wojny i finansów reprezentujących rządy 14 państw należących do organizacji „Bloku Atlantyckiego” czyli — jak to się uwarło nazywać w skrócie NATO (North Atlantic Treaty Organisation). Była to dziesiąta z kolei sesja „Rady Atlantyckiej”. Odbędzie się ona równo w dziesięć miesięcy od poprzedniej, która miała miejsce w Lizbonie w lutym 1952 roku.

Program przedstawiony w Lizbonie przez Eisenhowera — jak to już dzisiaj widać z całą dokładnością — był przeznaczony nie tylko dla 14 państw członkowskich NATO. Miał on również cel inny — „wewnętrzno-amerykański”. Miał odegrać poważną rolę najpierw w dopomożeniu Eisenhowerowi do uzyskania w lipcu 1952 od partii republikańskiej mandatu na kandydata z ramienia tej partii na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, a następnie zaś miał ułatwić mu wygranie wyborów w dniu 4 listopada ub. roku. Jak wiemy oba te „wewnętrzne” zadania zostały spełnione.

Natomiast nie tak pomyślnie wypadła realizacja programu lizbońskiego na odcinku NATO. Założeniem planu lizbońskiego, przedstawionego Radzie Atlantyckiej przez gen. Eisenhowera było zorganizowanie przez NATO na koniec 1952 roku 50 dywizji na stopie bojowej, tj. o pełnych stanach i pełnowartościowym wyszkoleniu. Jednym z głównych filarów tej nowej armii miał być kontyngent zachodniemieckiego Wehrmachtu, którego wysokość obliczano na 1.200 000 ludzi. Pozostałe zaś państwa miały dostarczyć około 2.800.000 żołnierzy, tak, że armia NATO w Europie liczyć miała cztery miliony żołnierzy. Armia hiszpańska jak i jugosłowiańska nie były wliczane w ten kontyngent. Takie oto piękne plany zakładano w Lizbonie w lutym 1952 i na ich gruncie snuto daleko idące marzenia, zarówno natury czysto militarnej jak i w zakresie całokształtu polityki międzynarodowej. Opracowano więc czym prędzej tekst układu, który trzy mocarstwa zachodnie podpisały w maju ub. roku w Bonn z Niemcami zachodnimi, oraz układu o „armii europejskiej” podpisanego w tym samym miesiącu w Paryżu.

Dwaj główni partnerzy zachodniej Europy jakimi niewątpliwie w zespole NATO są Francja i Niemcy zachodnie nie zdołali w ciągu całego okresu dzielącego maj od grudnia przeprowadzić ratyfikacji tych układów mających przeciw stanowić punkt wyjścia do realizacji „konceptu lizbońskiego”. Jeśli zaś chodzi o zwiększenie stanu liczebnego „armii europejskiej” poza jedynym wyjątkiem jakim jest Turcja — żadne z państw członkowskich NATO nie dotrzymało swych zobowiązań złożonych w Lizbonie. Powody załamania się były dwójakie: natury moralnej i finansowej.

Naumyślnie postawiliśmy na pierwszym miejscu powody natury moralnej. Wydaje nam się bowiem, iż w rzeczywistości, one właśnie stanowiły główną przeszkodę zarówno w ratyfikacji układów bońsko-paryskich jak i w zwiększeniu efektów wojskowych poszczególnych państw zachodnio-europejskich. Wpływ jaki wywiera na opinię publiczną całej Europy żywiołowy rozwój Ruchu Obróńców Pokoju, przez włączenie się weń szeregu ośrodków różnych pod względem postawy światopoglądowej i dotąd z dala stojących od tego ruchu jest olbrzymi. Opinia pu-

bliczna w szeregu krajów zachodniej Europy, tak w Paryżu, Rzymie, Brukseli jak i w Bonn zaczęła z coraz to większym krytycyzmem przyglądać się planom NATO sporządzonym w Lizbonie. Objawem rozwoju antyamerykańskich nastrojów w Europie były olbrzymie manifestacje w lecie ub. roku protestujące przeciwko przyjazdowi do Europy gen. Ridgwaya, wstawione z niezwykle okrutnego sposobu prowadzenia operacji militarnych na Korei, którego nazwisko związało się z autorstwem słynnej bomby „napalmowej” i wiadomością, jaka obiegła świat o stosowaniu w Korei broni bakteriologicznej. Brutalny sposób w jaki policja i władze próbowały stłumić tę spontaniczną manifestację wielotysięcznych tłumów w Paryżu jedynie podniecił świadomość opinii publicznej co do metod jakimi planiści z Pentagonu pragną opanować całą Europę Zachodnią. Ponadto bezwzględność z jaką Ridgway próbuje „komenderować” rządami państw należących do NATO, bezceremonialność w wypowiedziach publicznych korespondentów amerykańskiej prasy, brak uprzedniego uzgadniania posunięć z zainteresowanymi rządami sprawiły, iż nastroje antyamerykańskie nurtujące tak silnie tylko szerokie masy mieszkańców państw zachodnio-europejskich w pewnej mierze przedostały się również nawet do kół prądowych, dotychczas ślepo uległych dyktatowi Waszyngtonu. Konflikt narastał nie tylko w Belgii, gdzie sprawa dwuletniej służby wojskowej doprowadziła do wybuchu ostrego zatargu politycznego i przesilenia gabinetowego i we Francji, gdzie rząd Pinaya widział się zmuszonym do odrzucenia memorandum Ridgwaya przesłanego w formie noty dyplomatycznej USA i gdzie wygłosił znamiennej mowę prezydent Vincent Auriol, ale nawet i w W. Brytanii, gdzie Churchill nie ukrywał w przemówieniu wygłoszonym w Izbie Gmin zastrzeżeń co do taktyki postępowania nowego głównodowodzącego NATO i gdzie tempo zbrojeń miało przyspieszenia zostało faktycznie zwolnione. Ale nie tylko gen. Ridgway był powodem tej coraz bardziej narastającej wrogości w stosunku do planów lizbońskich NATO. W sukurs przyszły mu — stopniowo wypuszczanej przez anglosasów w Trizonii i wężleń — byli generałowie Wehrmachtu. Przewodzący Adolf Hitlera. Zjazdy

dokonywane przez przeróżne organizacje b. wojskowych poszczególnych formacji i rodzajów broni i wygłaszane na nich przemówienia rozchodziły się szerokim echem po krajach zachodnio-europejskich stając się przysłowiowym kłębem zimnej wody. Umundurowani junrzy zachodnio-niemieccy poczuli koniunkturę. Mowy ich podzielały jak prąd elektryczny, zwłaszcza na opinię francuską i brytyjską. Palmę pierwszeństwa w tym osobliwym widowisku uzyskał zwłaszcza gen. Ramcke, b. dowódca spadochroniarzy, którzy z brutalnym cynizmem zdarł jakiegokolwiek iluzję co do rzeczywistych nastrojów i dążeń rewizjonistów niemieckich marzących o nowej „krucjacie” na Wschód. Wystąpienia b. wojskowi mieli również wpływ na opinię publiczną w Trizonii. Opór przeciwko ratyfikowaniu przez parlament w Bonn układów zawartych w maju ub. roku z trzema mocarstwami okupacyjnymi wzrósł do tego stopnia, iż — pomimo wszystkich wysiłków i tricków — kanclerz Adenauer nie zdołał doprowadzić do tego aktu potrzebnego mu dla rozpoczęcia na wielką skalę odbudowy Wehrmachtu. Wprawdzie nowokreowane ministerstwo „obrony”, na czele którego stanął jeden z najbliższych współpracowników Adenauera Blank od szeregu miesięcy całą parą pracuje nad przygotowaniem szczegółowych planów organizacji nowych jednostek, ale przymusowa rekrutacja roczników została — mimo wszystko — zahamowana i opóźniona. Już to samo uznać należy za wielkie zwycięstwo sprawy obrony pokoju.

Wystąpienia generałów niemieckich w Trizonii ponownie uświadomiły społeczeństwu zachodniej Europy niebezpieczeństwa „związane z odradzającym się militaryzmem i polityką „Drang nach Osten” kół szowinistycznych junkrów. Najsilniej zareagowała opinia francuska żywo pamiętająca doświadczenia trzykrotnych najazdów i dwóch okupacji terytorium Francji w ciągu ubiegłych 80 lat. Przed kilku miesiącami w jednym z najważniejszych pism szwajcarskich „Journal de Lausanne” znany publicysta francuski Bertrand de Jouvenel opublikował artykuł, w którym analizuje obszernie dylemat przed jakim stanęła polityka Stanów Zjednoczonych w Europie. Polityka głosząca hasło „krucjaty w Europie” — skierowanej przeciwko Związkowi Radziec-

kiemu i mającej na celu „uwolnienie” krajów Europy środkowej i wschodniej spod wpływów komunizmu. Amerykanie — pisze de Jouvenel — przygotowują realizację swoich planów opierając się przede wszystkim na potencjale ludzkim Niemiec zachodnich stanowiącym niewątpliwie materiał na dobrego żołnierza. Jak się spodziewają, Niemcy będą jeszcze stosunkowo najbardziej chętni do nowej awantury wojennej. Ludność jednak zainteresowanych krajów wschodnio-europejskich mająca żywo w pamięci „dobrodziejstwa” okupacji hitlerowskiej gwałtownie i jak najbardziej wrogo przeciwstawia się wszelkiej takiej koncepcji, nie pozostawiając nikomu żadnych złudzeń co do tego, że będzie walczyć do ostatniej kropli krwi przeciwko „wyzwolenczym” dywizjom Wehrmachtu. I to właśnie nastawienie ludności Polski, Czechosłowacji i innych krajów środkowo-wschodniej Europy stanowi największy dylemat, nad rozwikłaniem którego biedzą się najteższe głowy Departamentu Stanów i Pentagonu. Ale który — według opinii Bertranda de Jouvenel — jest nierozwiązalny z samego założenia.

Wyczerpalimy dość obszernie przedstawienie powodów natury moralnej, jakie grały w ostatnich trzech kwartałach przeciwko realizacji przez kraje zachodniej Europy zobowiązań przyjętych w Lizbonie. Ale te powody moralne znalazły jeszcze innego sojusznika działającego na ich korzyść. Mamy na myśli powody finansowe, które w ciągu ub. roku ujawniły się z całą siłą. Zastrzyki „mortuary” pieniężne jaką stanowiły dla krajów zachodnio-europejskich w ub. latach wpłaty dokonywane przez Stany Zjednoczone w ramach Planu Marshalla urwały się. Wzajemnie za to program lizboński narzucił wszystkim członkom NATO paroletnie plany finansowania zbrojeń. Plany przekraczające ich możliwości, plany prowadzące nieuchronnie do ruiny finansowej, do deficytów budżetowych oraz do załamania się równowagi bilansów płatniczych na skutek konieczności przedstawienia większej części produkcji przemysłowej, pracującej dotychczas dla celów eksportowych, na cele produkcji wojskowej. Dla przykładu podajmy jedynie, iż np. w Brytanii, kraj niewątpliwie najbogatszy i najsilniejszy finansowo z krajów zachodnio-europejskich, w ciągu trzech najbliższych lat miała poświęcić sumę 5 000 mi-

lionów funtów na zbrojenia. Nikt chyba nie posądza ani na chwilę obecnego premiera brytyjskiego Winstona Churchilla, jak też całego jego konserwatywnego gabinetu o brak chęci podporządkowania się planom Waszyngtonu. A jednak rzeczywistość zmusiła tegoż Churchilla do ogłoszenia w Izbie Gmin na kilka tygodni przed sesją paryską Rady Atlantyckiej, iż W. Brytania zmuszona jest do zrewidowania rozmiarów i tempa realizacji programu zbrojeń. Jeżeli zaś chodzi o inne kraje jak Francja, Włochy, Belgia czy Holandia, to one już o wiele wcześniej opublikowały swoją niemożność wywiązania się z narzuconych im w Lizbonie zobowiązań.

W takich oto warunkach zebrała się w grudniu ub. roku Izba Atlantycka na dziesiątą sesję w Palais de Chaillot w stolicy Francji. Posiedzenia tajne — jak slychać z niedyskrecji dziennikarskich — były mocno burzliwe. Komunikat wydany po jej zakończeniu zawierał samą „wodę” ażeby użyć popularnego dziennikarskiego określenia. Dużo frazesów, nic pozytywnego. Nie mogło zresztą być inaczej. Sesja paryska Rady Atlantyckiej dała tylko jeden praktyczny rezultat: ujawniła całemu światu pogiębienie się przeciwieństw i narastanie nowych rozbieżności, pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a resztą państw należących do NATO. Stanowiła ona poważne osłabienie pozycji głównodowodzącego siłami zbrojnymi NATO gen. Ridgwaya, który znalazł się pod silnym ostrzałem z wszystkich stron. Nie zdołał go nawet wybronić inny generał lord Ismay zręczny dyplomata i sztabowiec (przez cały okres drugiej wojny światowej piastował on stanowisko najbliższego doradcy wojskowego Churchilla będąc jego osobistym szefem sztabu). Nastawienie antyamerykańskie w Paryżu wykorzystali natychmiast Anglicy zdobywając dla siebie stanowisko dowódcy rejonu śródziemnomorskiego, na które powołany został admirał Mountbatten.

Sesja paryska ujawniła z całą ostrością istnienie kryzysu strukturalnego w organizacji Bloku Atlantyckiego. Przebieg jej był zapewne tematem rozmów jakie w niezbytym miesiącu prowadził Churchill z Eisenhowerem. Nie wydaje się jednak by — nawet oni — zdołali wynaleźć lekarstwo na tę „atlantycką kwadraturę koła”.

Stefan Żurowski

PRZEGLĄD PRASY

Niestawny obrońca ładu społecznego

Charles Maurrasa przebrzmiał prawie bez echa w Polsce. Milczenie nad trumną tego człowieka, który tyle zamętu wywoływał w świecie katolickim w ciągu długich lat swego życia, jest znamienym powłóczym. Nie pozostawił po sobie nic pozytywnego, tylko wspomnienie niesmaku. Można by więc nie mieć tego milczenia, gdy by poza Maurrasem, którego ocena jest całkowicie jednoznaczna, sprawa nie była typowa i pouczająca, gdyby nie wybiegała daleko poza epokę i poza niestawny żywot starego przywódcy francuskiej prawicy. Dlatego też zapewne St. Stomma w artykule „Fiasco doktryny kontrrewolucyjnej” („Tu godnik Powszechny nr. 2(408) z okazji tej medwanej śmierci przypomina skompromitowaną koncepcję i program Action Française.

Nie będziemy tu streszczać poglądów Stommy, pragniemy natomiast podzielić się z czytelnikami garścią refleksji, jakie namawiają się na marginesie jego artykułu.

Każdego chyba katolika uderzyć musi i gniewać fakt, że wśród obrońców Kościoła znajdowało się i znajduje

tylu ludzi najmniej do tego upoważnionych. Maurras nie jest bynajmniej odosobniony. Franco czy Salazar, cokolwiek by ich nie różniło z przywódcą Action Française są tylko przykładami tej długiej galerii osobistości, które grając w polityce na karte katolicka w istocie przyczyniają się do kompromitowania Kościoła. Zawsze wielki autorytet moralny kusił cynicznych polityków, by użyć go dla swoich celów. Jednak w naszej epoce zbyt liczni stali się różni Maurrasowie i zbyt jednostronne ich działania. Jakkolwiek każdy z nich ponosi klęskę, w sumie mogą poszczycić się jedynym niewątpliwym, choć godnym pożałowania sukcesem. Mianowicie udało im się wpisać wielu umysłom przekonanie, że katolicyzm nie da się pogodzić z postępowością — że być katolikiem to tyle co sprzeciwiać się rozwojowi społecznemu.

Wielu ludzi oburzyłoby się, gdyby usłyszeli zarzut wsteczności. Twierdzą, że są postępowi. A jednak nie ma nowej myśli, nowej, wymagającej wysiłku i trudu postawy, do której

nie odnieśliby się nienawistnie, a w najlepszym razie podejrzliwie. Co gorzej, tę swoją podejrzliwość lub wrogosć starają się oni motywować katolickością swojego poglądu na świat. Wtedy Charles Maurras odnosi triumf wybiegający poza jego życie.

Równocześnie jego postać jest jednak ostrzeżeniem. Na przykładzie tego życia widać aż nazbyt wyraźnie, że postawa społeczna człowieka to nie tylko problem wyboru intelektualnego, ale to przede wszystkim sprawa wielkiej odpowiedzialności moralnej.

Charles Maurras wybrał idee obrony tzw. „porządku”, idee ładu społecznego, niewzruszonego i niezmiennego. Cule jego życie: zdrada własnego narodu i krzywdy jakie wyrządził Kościołowi były tylko prostą konsekwencją tego wyboru.

Mimo odstraszącego przykładu tylu podobnych do Maurrasa osobistości, pojęcie niezachwianego „ładu społecznego” tkwieć się ciągle po głowach licznych katolików. Co jest przyczyną uporczywego trzymania się tych przekonań tak w istocie swej sprzecznych z dynamicznym i głoszącym idee

czynnej miłości światopoglądem chrześcijańskim? Lenistwo, chęć zrzucenia z siebie odpowiedzialności? Zapewne te czynniki odgrywają tu pewną rolę, nie sposób jednak nie wyjaśnić tej uporczywości z jaką całą prawicę wbrew oczywistej rzeczywistości społecznej broni bezsilnego i zmuszonego „ładu społecznego”. Nie wyjaśnić tego również wpływu takich mierznych i lichych ludzi jak Charles Maurras. Nie demonizujmy tej postaci, ani też innych jej podobnych.

Trzeba być ślepy, by nie dostrzec, że czynnikiem decydującym jest tu presja całej tej klasy, której utrzymanie „ładu społecznego” zapewnia wpływy i dogodną egzystencję opartą na pracy innych. Aby jednak te wpływy i tę dogodną egzystencję utrzymać, trzeba za wszelką cenę odsunąć od wpływów tych wszystkich, których kosztem wzniesiony został cały system wyzysku. Dlatego tak cenne są wszystkie ideologiczne elukubracje, które usiłują dowodzić, że nierówność ludzi jest naturalna. Ale co to wszystko ma wspólnego z katolicyzmem? Chyba to tylko, że zaprzecza naczelnym jego zasadom.

(aka)

Władysława SZKARADEK — LURASIOWA

K O N S T R U K T O R

1.

Od muru do muru mgły się włóczą,
nad mgłami słońca ruda tarcza
wschodzi.
konstruktor Stefan Ruczaj
przemierza warsztat
jak co dzień.

Spękana tynku masa,
za oknem trzepot — wiatr.
Tu smarów lepki zapach
trwa.

Acetylenem czas się pali.
Pędzą maszyny — zadyszane
jak w gniewie...



I tylko w kącie hali,
gdzie mrok pająki zgnania —
bezczylnie wsparła się o ścianę
tokarnia
39

Za mroku się wychyla — niby
wyskoczyć chce i krzyknąć: przedziej!
Lecz milczą jej kalekie tryby
jej inwalidzkie milczą ręce.

2.

Oparł dłonie o suport Ruczaj Stefan
konstruktor...
A już słońce do głowicy podeszło...
Mrok przez palce się przesiał,
czas na drodze swej utknął
i obrócił się w przeszłość
o stopni sto osiemdziesiąt.

I pamięć niby klisza,
co rzeczy przeminione
tak zachowała świeżo, jakby się działy dzisiaj...
Wspomni:
wieś...

dach schylony
nad prostym chłopskim domem...
Lata chłopięce niełatwe,
niełatwe chłopięce sny.
Tęsknota na miedzach zielonych
wysnuta z pragnień i mgły,
kiedy bosonogi pasterz
powtarzał prawa fizyki...
I wtedy pierwsze objawienia
wyszły z księzek jak z bajek dziecięcych,
gdy wśród kółek, sprężynek, haczyków,
odnalazł... i ujął w ręce —
radość tworzenia...

Lata niełatwe dzielone między szkołę,
pastwisko i orkę. Wielkie odkrycia,
wielkie zawody i klęski...
Wnet przyszły sny nierealne, z mozołem
wdeptywał drogę w życiu
chłopak wiejski.

I tylko na dnie serca,
w zakamarkach duszy ukryta
czuwała myśl najszersza —
— żeby w ruch wprawiać maszyny,
marzenia przenieść w czyn —
żeby wytrwać. —

3.

Racjonalizator Stefan Ruczaj
z postukiem maszyn życie splótł —
dzisiaj konstruktor, wczoraj — ślusarz,
niejeden łamał trud.

Lecz młoty wałą mu w tętnicach
niby w kotłowe blachy,
gdy stanął przy swej rysownicy
w biurze konstrukcji maszyn.

Zwoje kartonu, kalki płachty,
stołów szeregi długie...
Pietrzę się liczb zuchwałych baszty
i dłoń przynagla suwak.

Po palcach biegnie dziwny prąd,
pod czaszką ogień pali.
Jakichś przekrojów sunie rząd
w zdecydowanej skali.
I już się dopełniają sny
w promieni czarnych prętach,
szybciej niż ręka biegnie myśl
wyrzela ewolwentę.

Przeminął dzień — już drugi dzień
gaśnie godzina szara.
jeszcze przekrojom rzucić cień —
i kreski pod wymiary.

Pośpiech arterią z serca płynie
w nieprzerwanym śpiewie...
A w hali maszyn drzenie bezczynnie
tokarnia 39.

4.

Były debaty
w warsztatach
narady techniczne, rozmowy —
coraz mniej niechętnych...
Wreszcie słowo do słowa
jak ziarno do ziarnka
i projekt został przyjęty.
Rysunek wykonawczy gotowy

ujęła w ramiona kopiarka —
I zapalił się światła — mrugają równomiernie —
teraz odbitek wystarczy — na modelarnię, mechaniczny,
odlewnię...

5.

Tymczasem przy piecach nie śpią,
ani nie owijają w bawełnę roboty —
tu czuwa wzrok i dotyk
i mięśnie.
Już
palacz rozniecił ogień w kotlinie żeliwiaka.
Płomień wyrzela nad pomost —
płonie zapal
i drzewo i koks.

Toczą się, toczą,
wózki jeden za drugim.
Ogień wybucha mocą
szybu — rudy...

Na kominie chwieje się, kołysze...
wtem

otworzono dysze —
minuty ciekłą kroplami żeliwa,
płoną karminem
i lawa spływa
na dno kotliny...
Stąd do zbiornika kapie...
Wnet pod otwór żuźlowy podraasta
masa

gorąca, ciągliwa...
Znów dmuchawa nadyma płuca
i szlakę

gwałtownym oddechem wyrzuca.
I staje żeliwiak

w gwiazdach,
z serca ogniste race miota,
żużel ostatnią jazdą
parabole wykreśla złote.

Metalurg wzniosł rękę do góry:
gorów.

I już promienisty sznurek
i już rozpalony potok
mieni się i rylniką do kadzi przepływa
bulgocąc.

Drgają opiłki prochu.

Rozkrzyżowana na szynach
sownica
posuwa się krok za krokiem...
W powietrzu przegrzonym od pieców
żelazny hak chwieje się coraz niżej.
Poblask rudy i czerwony
twarze harde i zmęczone
liże...

6.

O, białcie pozdrowione dłonie
odlewające postument
na którym staną przyszłych dziejów pomniki.
Niech was oczyści ogień
ze złości, nienawiści i pychy.
Niech rozplonieni dumę
narodową i miłość wyogromni.
Miłość ziemi ociekającej przez wieki niewolą.
Chłopie z Woli,

robotniku z gdańskiej stoczni,
Ślązaku, o którym mówią, żeś wiary dochował.
I ty Franku z Chochołowa,
czy Gronia,
o którego wierność żadnej wyroczeni
nie potrzeba pytać.
Niech będą pozdrowione wasze dłonie,
niech będzie wolność pozdrowiona
i Rzeczpospolita.

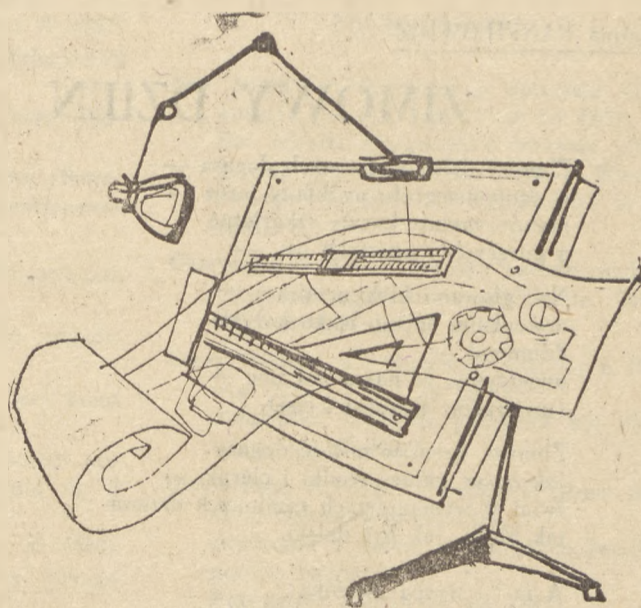
7.

Dłonie poety są ciche,
gdy kładą się na głoskach,
niby na kwiatów kielichach
i słów szukają prostych.

Dłonie ślusarza są harde,
dłonie konstruktora — myślą...
Razem trzymają wartę
przed bramą z godłem — Przyszłość.

Poeta, co gardził tłumem —
od wieków po chmurach latał —
pochylił się i zdumiał —
i dojrzał — brata.

A tymczasem konstruktor, który nie był poetą
szedł przez warsztat i gwizdał, wiatr włosów mu się czepiał.



(Przeciąg drzwi pootwierał, wiatr w głąb hali się wcisnął —
nad maszyną drzemiącą jak skowronek zawisnął.)
Patrzy

już prąd włączają

silnik zadygotał lekko
i po stalowych członach drzenie wkrąg przebiegło.
Drgnęły koła zębate, dźwignienki i wałki —
Już idzie...

oczy ludzi ruch maszyny gonią.
Zawisły na suporcie, nakielkach, wrzecionie
badawcze i uważne.
Idzie...

idzie.

I tam gdzie pobłysk słońca wstążką się przewinał,
by na suporcie płonąć świetlistym zarzewiem,
snopem wiór srebrno-sinych powietrze przecina —
tokarnia 39.

Józef DUŻYK

Reportaż o początkach Polski

PISAĆ reportaż o wykopaliskach mileniowych w Polsce to rzecz trudna. Trudna, bo temat jest właściwie par excellence naukowy. Nie wynika z tego jednak, że nie można go popularyzować. Zagadnienia, które wylaniają się przy rewolucyjnych niejednorodnie odkryciach mogą interesować i interesują na pewno szerszy ogół, a nie tylko meżów uczonych i od nauki osiwały. Przy popularyzowaniu zagadnienia wykopalisk może zaistnieć jednak pewne niebezpieczeństwo: łatwo wpaść w szablon i całą ciekawą sprawę spłyć nie widząc rzeczy istotnych, a przy tym jakże łatwo pisać całkiem monotonię, nie interesując, wydestawiać te same problemy, no i — co jest rzeczą zrozumiałą — znudzić i zniechęcić czytelnika po kilkunastu zaledwie stronicach. Toteż przyznam, że ostatnią książkę Pawła Jasienicy^{*)} brałem do rąk z pewnym drżeniem, zastanawiałem się czy tylko ją przeglądnąć i odłożyć na półkę, czy też czytać „od deski do deski”. No i nie zamyślona jeszcze w tak szybkim tempie lektura została rozpoczęta i po dwóch dniach (przy innych naturalnie zajęciach) ukończona. Książkę czytało się jak dobrą powieść, wpadło się w prastarą historię polskiej ziemi, weszło się w pasjonujące zagadnienia, przedtem jakiegoś odległe i nierealne, teraz jakżeż bliskie, znajome i nadzwyczaj ciekawe.

„*My, Polacy*”, — pisze Jasienica na końcowych kartkach książki — *dzięki archeologom posiadliśmy pewność, że ziemia nasza od tysiącleci do nas należy*”. A w innym miejscu: „...stwierdzić wypadnie, że archeologowie zaczynają uczyć nas rewelacyjnej prawdy. Te same okolice, które aż do dziś grzęzły w beznadziejnym zacofaniu — przed dziesiątkami stuleci przodowały cywilizacyjnie swojej polaci Europy. A więc słowo „starzy” bynajmniej nie oznacza „bardziej prymitywny”. Naprawdę nie oznacza”. Te dwa cytaty przytoczyłem po to, by pokazać, że Jasienica

te dwa momenty starał się w swej książce wydestawiać na plan pierwszy. Doskonałemu publicyście chodziło o ukazanie w swym reportażu prawdziwego obrazu tej Polski sprzed tysiąclecia, która — jak to niezbicie udowodniły wykopaliska — nie tylko była nasza i do nas należała, ale posiadała pewną cywilizację. Człowiek, którego osady odkopują dziś spod ziemi polscy archeologowie, nie był barbarzyńcą, znał się już na wielu rzeczach, potrafił doskonale budować grody (Jasienica pisze, że prapolskie grody były „warowniami znacznie lepszymi niż np. kamienne twierdze włoskie”), stworzył podstawy przemysłu, rozwinął rzemiosło itd. Że nie zostawił pomników pisanych, śladów bibliotek, zetlanych pergaminów ze znakami pisma to wcale nie przemawia za jego barbarzyństwem. Większość spośród pisarzy historycznych nie rozumiała tego. Tak np. Kraszewski niezbyt dobrze odezwał epokę. Nie powinniśmy się temu jednak dziwić. Całkiem co innego czasy Kraszewskiego, a co innego rok 1951 ze swoimi wykopaliskami. To, czym może posługiwać się Gólbiew przy pisaniu swego „Bolesława”, nie było ani w połowie dostępne twórcy „Słrej baśni”. Jasienica świetnie przedstawił w swej książce polską a zarazem słowiańską cywilizację. Na przykładzie wykopalisk pokazał prapolską kulturę, spryt i wynalazczość naszych pradziadów.

Polscy archeologowie stwierdzili po ostatniej wojnie rzecz niezwykle ważną: że „na lewym brzegu Wisły, w dół Krakowa, w I stuleciu nowej ery zaczął się kształtować okrąg przemyślowy. Do dzisiaj wiemy, że rozciągał się on na przestrzeni sześciu kilometrów. Jaki zaś obszar zajmował w rzeczywistości — to się dopiero okaże”. Krakowscy archeologowie z dyr. Tadeuszem Reymantem na czele odkryli przecież wielką ilość pieców hutniczych tzw. dymarek. W latach 1946-1949 odkryto 34 piece (przed wojną tylko 4). To były odkrycia rewelacyjne, bo udowodniły niezbicie istnienie hutnictwa w pradawnej Polsce, już w I i II wieku po Chrystusie. To znów dowód na wysoki poziom

ówczesnej cywilizacji. Całkiem wyraźnie staje przed naszymi oczyma obraz cywilizowanej ziemi i ludzi, którzy tak wcześnie nauczyli się wytapiać żelazo. Pomogło to ówczesnym mieszkańcom Polski w życiu, udoskonalilo ich metody pracy, stało się powodem gospodarczego rozwoju kraju. Funkcjonowały wówczas również doskonałe piece garncarskie. „*Technika pracy stała bardzo wysoko. Obok dworu odnaleziony został piec garncarski z XV wieku. Ani go nawet porównać z tymi „przedhistorycznymi”*”. *Prymitywny, niezdarne, byle jak sklecony*”.

Piszę o przedmiotach, które odkryli nasi archeologowie. Ale dla archeologów „*najważniejszy jest człowiek, który to wykonał, ustrój w jakim żył, słowem wszystko, co dotyczy warunków jego bytowania i jego samego*”. Bo archeologia to przecież nauka humanistyczna. Interesuje ją przede wszystkim człowiek, bo on jest przedmiotem historii i na niego skierowane są oczy naukowców. Chodzi o odtworzenie jego życia, jego zmagania, trudności jakie wylaniały się w jego pracy. Chcielibyśmy wiedzieć, jak on te trudności pokonywał, jak walczył o swój byt, jak postępował naprzód, jak ulepszał warunki swej pracy, by mu było lepiej i wygodniej. Próbowali już nasi prehistorycy to prastare życie odtworzyć. Uczynił to doskonale w „*Kulturze prapolskiej*” prof. Józef Kostrzewski, a ostatnio Hensel. Nowe odkrycia, które następują niemal codziennie w letnich sezonach przyniosą jeszcze bogatszy materiał i pozwolą może jeszcze lepiej naświetlić to niezmiernie interesujące zagadnienie.

Jasienica świadomie burzy męt o prapolskim barbarzyństwie i braku cywilizacji, legendę o jaskiniowcach i zezwierzęconych typach. Kreśli prawdziwy wizerunek prapolskiego życia na podstawie nie jakichś fantastycznych mrzonek, ale realnych i namacalnych świadectw, które wykopuje łopata polskiego archeologa.

To jedna sprawa, która pochłonięła uwagę Jasienicy i której tak wiele miejsca poświęcił. A druga — to sprawa polskości naszych ziem, problem nie mniej ważny od tamtego. Wykopaliska pozwalają przedłużyć daleko w przeszłość granice naszej państwowości. „*Przedłużenie wieku Polski opiera się o dowody rzeczowe i nie posiada nic wspólnego z żadnym hurra-patriotycznym rozpędem*”. *Prześliśmy daleko poza X wiek. „Ani się obejrzelśmy — a już dotarliśmy do samych początków poprzedniego tysiąclecia. Ale i to jeszcze nie stanowi kresu*”. Bo w r. 1951 krakowski archeolog dr Stanisław Buratyński stwierdził, że we wsi Wyciąże istniał przemysł garncarski w III-II w. przed Chrystusem. „*Z której więc strony w perspektywę tych odległych spraw nie spojrzeć, okaże się jedno — nie od wieków, tylko od tysiącleci siedzimy na swojej ziemi*”.

Jasienica próbuje obalić legendę o czasach bajecznych Polski, o bajecznych władcach, którzy rzekomo istnieli przed Mieszkiem I. Swoimi wywodami przeknuje niejednego z nas. Trudno przecież uwierzyć, że Polska — jak Minerwa z głowy Jowisza — wyskoczyła pewnego dnia na arenę światową. Gdzież w takim razie organizowanie państwa? Nie mogło się chyba dokonać za panowania jednego tylko władcy. Leszek i Ziemomysł mogą być równie historycznymi władcami Polski jak i Mieszko. „*Nie ma dwóch zdań, że spadziasty wał gnieźnieńskiego grodu świadczy o istnieniu państwa już w końcu VIII wieku*”. Za Mieszka I Gniezno było już silnym miastem.

Długi szereg uczonych polskich i niemieckich rozwodził się nad dokumentem *Dagome iudex*. Poprzekreca-

ne przez rzymskiego kopistę słowa stały się dobrą pomocą dla uczonych — przede wszystkim niemieckich — którzy mówili o normandzkich początkach Polski. „*Teoria o normandzkich rzekomo początkach państwa polskiego musi być obalona do wodom rzeźmowitymi, w sposób poważny. Dokonał już tego prof. Józef Kostrzewski*”. Z hipotezami normandzkimi wiąże się teoria, która mówi o przemożnym wpływie germańskiej kolonizacji na naszych ziemiach. Tymczasem wykopaliska i to twierdzenie rozbijają w puch. „*Gdańsk rósł i wyrósł wraz z Polską*”. Wyrósł z Polską każdy gród, każda osada. Świadczy o tym wykopane resztki grobów, naczyń, rozmaite przedmioty. Słowem cała archeologia.

Badania uczonych stwierdzają, że konstrukcje grodów prapolskich są rdzennie słowiańskie. „*Nic tutaj nie świadczyło o udarciu się obcego elementu, który by przyniósł ze sobą jakieś nowe, nie znane Słowianom, umiejętności*” — pisze Jasienica z okazji oglądania grodu w Tumie pod Łęczycą.

Rozwiodłem się szeroko nad tymi dwoma problemami, bo są one istotą książki. Autor chciał, by czytelnik te problemy zauważył i podumał chwilę nad ich wagą. Bo że są to problemy bardzo doniosłe, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Pamiętamy reportaż Jasienicy drukowany w „*Tygodniku Powszechnym*” a poświęcony wykopaliskom na Lednicy. Ta pierwsza wizyta reporterska na Lednicy sprawiła, że Jasienica pokochał prehistorię i zaczął myśleć o książce, która by traktowała o przygotowaniach do obchodu tysiąclecia państwa polskiego, a więc o wykopaliskach. Owocem tych pragnień, — a trzeba dodać — owocem doskonałym, jest „*Świt słowiański jutra*”. Jasienica (z wykształcenia historyk) podszedł do tematu prehistorycznego z sercem. — Daje on znakomity przegląd prac wykopaliskowych w Polsce w r. 1951, bo zjeździł wiele stanowisk, do niektórych wracając nawet po kilka razy i z miłowaniem wczytywał się w zakletą w kamieniu i drewnie przeszłość. Układ książki jest przejrzysty. Pierwsza i druga część wprowadza nas w zagadnienia ogólne i na teren Wielkopolski (Biskupin, Lednica, Gniezno, Poznań itd.) trzeci w Małopolskę (Tyniec, Igołomia, Wawel), i Śląsk (Cieszyn), czwarta w Śląsk, piąta w Pomorze, szósta zaś jest doskonałym podsumowaniem, bo kreśli właściwie przebieg zjazdu wrocławskiego polskich archeologów. Bardzo zgrabnie połączył Jasienica część drugą z częścią trzecią. Rozdział zatytułowany „*Czoło ziem polskich*” traktuje o Wielkopolsce, o pierwszych stolicach naszego państwa. W r. 1038 Wielkopolska traci tytuł stołeczny, Kazimierz Odnowiciel nową stolicę założył „*tam, gdzie tradycje chrześcijaństwa były jednak starsze, bardziej zakorzenione, w Krakowie*”. I Jasienica przerzuca się do Małopolski, gdzie nas próbuje poprowadzić na „*zatarte ślady księcia Wiślan*”.

Wszystkie ciekawe odkrycia czy uwagi uczonych polskich przedstawił Jasienica na kartach swego reportażu. Pokazał nam ośrodki polityczne pradawnej Polski, jej centra przemysłowe, wskazał na najistotniejsze znaleziska. Kreśli przy tym i dzieje średniowiecznych niektórych miejsc, pisze o przelomowych momentach w ich historii i ich politycznym znaczeniu. Ogrom materiału jaki Jasienica zebrał do reportażu, nie może być ani w skrócie ukazany w recenzji. Podkreślam tylko rzeczy, które zasługują na większą uwagę i które przez czytelnika winny być należycie przetwarzone.

Z książki Jasienicy dowiedzieliśmy się coś niecoś o pracownikach archeo-

logii w Polsce. Autor poznał nas nie tylko z uczonymi już o ustalonej pozycji, o znanym nazwisku, ale i z ludźmi, którzy szerszemu ogółowi nie są znani, ale którzy są wybitną pomocą owych sław. To będzie Maria Głogon, Agnieszka Kliszcz, Róża Kornberg, Maria Kania, Emilia Czyżowa, Pawelec, Tomaszewski, Różański i wielu innych. To będą przedstawiciele powstającego w r. 1947 opolskiego Komitetu Badań Prehistorycznych, dr Szymon Koszyk i Ignacy Kuźniowski, to będzie gospodarz Piotr Paluch ze wsi Zofipole i odkrywca Biskupina naukowiec Walenty Szwajcer. Archeologia dziś — to nauka, która pociągnęła szereg ludzi. Można powiedzieć, że odgrodziła: „*...sama niemal mło dzież. Bujna, gwarna, zadzierzasta i dobrze pracująca. Starożytności słowiańskie w młodych dłoniach*”. To też ma swoją wymowę.

Prace wykopaliskowe w Polsce, nie zmiernie doniosły wyczyn nauki polskiej po wojnie potrwają jeszcze lata. Szereg ośrodków musi być przebadanych i opracowanych. Jasienica pisze o potrzebie poszukiwań na Ziemiach Zachodnich, proponuje za prof. Hołu bawicem tworzenie muzeów w rodzaju igołomskiego. „*Jak największe masy powinny obejrzeć to wszystko tak, jak jest. Trzeba koniecznie iść drogą wyznaczoną przez igołomskie muzeum w sadzie gospodarza Piotra Palucha. Budynek o wielu oknach nad znaleziskiem, na ścianach treściwe objaśnienia, wykresy, mapy. To będzie do piwo majnes dla turystów. A i rzetelne upowszechnienie wiedzy także*”.

Dobrze zrobiono, zaopatrując książkę w zdjęcia. Zdjęcia — trzeba przyznać — są doskonałe, wyraźne i wiele uczą czytelnika, który wykopalisk nie widział i nie oglądał ciekawych znalezisk.

Pozostają jeszcze usterki książki, niesłuszne stwierdzenia autora. Są one nieliczne, książka napisana jest przez sumiennego pisarza, którego znamy z wielu wnikliwie opracowanych artykułów. Tak np. trudno dziś mówić o fałszywym światowidzie w Krakowskim Muzeum Archeologicznym, bo stwierdzono na pewno, że jest on autentyczny; wspinaczka na Sobótce wynosi 718 metrów a nie — jak chce Jasienica — 7 km; i Wiślicy — tak jak i w poprzednim swym reportażu książkowym — robi Jasienica jakąś niedostępną dziurę, gdy tymczasem podróż do niej nie jest tak skomplikowana. Jedziemy pociągami (na trasie Kraków — Warszawa) do Jędrzejowa a stąd według rozkładu jazdy, kolejką wąskotorową do samej Wiślicy. Wcale nie potrzeba używać autobusu, do którego tak trudno się dostać w Kielcach.

„*Świt słowiański jutra*” jest reportażem doskonałym. Jest nie tylko książką pierwszorzędą pod względem stylistycznym i barwną w opowieści, ale jest reportażem o doniosłym znaczeniu, napisanym z głębokim przeświadczeniem o znaczeniu kultury słowiańskiej, a więc i polskiej. „*Sądzę — pisze Jasienica — że widok tyłu wykopalisk archeologicznych nauczył nas pewnej prawdy — kulturę młodych narodów słowiańskich mierzyć należy miarą tysiącleci*”.

Po książkę Jasienicy powinien sięgnąć i nauczyciel i uczeń wyższej klasy szkoły podstawowej i student uniwersytetu. Bo książka doskonale rozumiała świat polskiej państwowości, dotarła do sedna istotnych spraw i swym tonem popularyzacyjnym pierwszorzędnie przemawia do czytelnika. Robota solidna zostaje długa i w pamięci i w literaturze. Jestem głęboko przeświadczony, że książka Jasienicy będzie pięknym dokumentem polskich prac wykopaliskowych i trwałą fotografią osiągnięć nauki polskiej.

Józef Dużyk

*) Paweł Jasienica. Świt słowiańskiego jutra. Państwowy Instytut Wydawniczy 1952, str. 381, nłb. 3, ilustracji 32.

Halina PANFIŁOWICZ

ZIMOWY DZIEŃ

Zimowy dzień w zmierzchu dogasa —
w druty telegrafu uwikłany mróz —
maluje, maluje kwiaty szkarłatne
u gójących i upartych ust. —

Nad głowami błękitu misa
dzwonekmi śniegu lekko kołysze
Zdumieni —
uwierzmy, że nasza jest noc —
(uwierzmy pokorni i cisi).

Zimowy dzień w miłość dogasa
jak owoc marzeń słodki i cierpki —
świat w wyciągniętych ramionach drzewa
tak bliski, jak był daleki.

A ja — wyspa maleńka
wśród zdarzeń szalejącej głęбини
modlę się, modlę światu całemu —
Jedyny —

FROMBORK

Miasteczko do portu przybija —
we mgle się świat kołysze —
szeszczą mantylki świerków
zrywając ciszę —

Katedra dźwiga mądrość całego życia
jak trzmiel wlatuje w obłoki wciąż nowe —
porosły grzyby domków
cieniem brzoźowym —

Jak zwykle
smolnym życiem zatętnił las —
(rybakom długo, długo śmierć ziemi się śniła
i artyleria gwiazd —).

Stanisław SAK

W SPRAWIE OTELLA

O KRES, który dzieli nas od występów w Polsce teatru moskiewskiego im. Mossowietu nie jest tak wielki, aby pozbawił aktualności pewne ogólne uwagi, które zamierzam tu poczynić. Nie będą one wyzbyte z aktualności również z tej przychylności, że przez cały czas długiej gościnności, żaden z krytyków nie pokusił się o omówienie filologicznej dziedziny pracy nad sztuką, to znaczy tej dziedziny, która dla teatrów radzieckich jest najbardziej specyficzna i wyróżniająca. Dopiero w ostatnim (21) numerze czasopisma „Teatr“ ukazał się krótki artykuł Krystyny Berwińskiej, w którym autorka próbuje sięgnąć do sprawy koncepcji Otella. Oczywiście, o nic innego nam nie chodzi, jak tylko o koncepcję. W naszym okresie, tak bliskiego i bezpośredniego stosunku do kulturalnej tradycji, zagadnienie pomysłowe, perspektyw, staje się problemem naczelnym. Interpretacja tekstu klasycznego dzieła, a potem dostosowanie do niej wszystkich środków warsztatowych i formalnych, jakimi według możliwości swego talentu dysponuje reżyser, wreszcie jego takt — to granice, w jakich aktor rozwijać może cały swój kunszt i temperament. Tego właśnie brakowało w krytyce. Osobiście pragnąłbym z tego właśnie punktu widzenia poczynić kilka uwag na temat Otella. Otello teatru im. Mossowietu w inscenizacji wybitnego ucznia Konstantego Stanisławskiego Jurija Zawadzkiego, ze znakomitym uczniem studium Stanisławskiego — Mikołajem Mordwinowem w roli głównej jest właśnie spektaklem, który pozwoleli nam na zastanowienie się, jak działa i o ile działa na scenie tradycja twórcy MCHAT-u. Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że owa noc rozmowy między Stanisławskim a Niemirowiczem-Danczenką stworzyła nie system a metodę, nie sformułowała szablonu a otworzyła perspektywę. Jej wielkość i znaczenie widać na przykładzie występów moskiewskiego teatru, którego zespół, trzymając się wiernie metody „teatru aktora“ — w szczegółach, a nawet w ogólnej koncepcji odbiegł w poważnym stopniu od pomysłu Stanisławskiego.

Syn królewski, Otello, zdeklasowany Murzyn, w sztuce Szekspira posiada bardzo oszlifowany charakter, dość wyrównany temperament, i specyficzna, mieszczańska, choć nie pozbawiona egzotycznej barwy i wdzięku, kultura. Środowisko nauczyło go pewnego wyrafinowania, splatającego się u Otella z otwartością i szczerością, oraz precyzją myślenia. Racjonalizm Szekspira nie pozwala Otello na czyny nierozważne, na nieprzemysłane „działanie w afekcie“, tym bardziej, że tragedia wymaga w ogóle świadomego działania. Pogłębiająca się, stopniowo dojrzewająca na skutek podsuwanych dowodów rozpacz Otella, pociąga za so-

bą zawsze ogólniejsze wyjaśnienie filozoficzne. Otello, poza własną tragedią, ma większe zadania; musi reprezentować i wyrazić dokładnie swój typ, pokazać naocznie cały proces psychologiczny właściwy ludziom, którzy znajdują się w analogicznej sytuacji.

Otello Stanisławskiego, którego kreował w pierwszej wersji znakomity Kaczalow, grał w owych cuglach oglądy i wytworności, jakie przypisał mu w swym planie reżyser. Fakt, że Stanisławski, nie mając do dyspozycji takiego słownika, który oddać by mógł całą finezję znaczeń, uciekł się w nazwaniach głosu do terminów muzycznych świadczy właśnie o dużej reżyserskiej powściągliwości (to zresztą może być atutem na korzyść Konstantego Siergiejewicza, a przeciwko jego fałszywym interpretatorom „krzyku i gwałtowności“). Hierarchia głosu Otella, naszkicowana była w marginesowych uwagach Stanisławskiego bardzo subtelnie. Oto, na przykład dowiadujemy się że „forte“ oznacza „nie piano“, „fortissimo“ zaś to „forte rosnące“; jest głos nazwany „piano, nie forte“ itd. Nie należy przez to rozumieć, że Stanisławski głosił jakiś sensualizm. Nie, jego powściągliwość była oznaką dużej konsekwencji, oznaką przywiązywania wagi do kontrastu jako jednego ze sposobów wyrażania prawdy. W istocie swej Otello Stanisławskiego utrzymany był w duchu teatru elżbietańskiego, choć uwspółcześniony, wzbogacony o doświadczenia psychologii, wiedzy o człowieku.

Krystyna Berwińska słusznie zwraca uwagę na „godność i takt Otella“, dzięki któremu incydent między nim a ludźmi Brabancja nie zamienił się w bójkę. Istotnie, Otello góruje nad otoczeniem brakiem tej pseudomambicjonalnej zaciepliwości, jaka cechowała dworaków renesansu. Jak powiedzieliśmy, jest bardziej opanowany, intelektualny, mieszczański. A przecież, ta społecznie zbielała, z racji stanowiska, rasa Otella, pozostaje zawsze bardzo czarna w oczach ludzi czerpiących soki z hierarchii jeszcze feudalnej, np. w oczach bardziej obrażonego niż zawiedzionego i „Oszukanego“ Brabancja, czy Jago, dla którego „Murzynowi zbywa na przyjemnej postaci, stosowności wieku, obyczajów i gładkości“. I oto jest konflikt między krwią a wartością, genialnie przeprowadzony przez Szekspira, który nie waha się uświadomić swego Otella o jego niższym rasowo, choć królewskim pochodzeniu; „Ja czarny, czarny“! Ten charakterystyczny konflikt pomiędzy krzepnącą już krwią błękitną panów feudalnych a mieszczaństwem, przenoszącym w nową epokę geniusz swej klasy, wyczytujemy z konfliktu Otella z otoczeniem. Nie waham się nazwać tego typowym konfliktem klasowym. A Stanisławski nie

wahał się w tekście pomocniczym przesunąć owego konfliktu na stosunki swej epoki. Oto, co mówi on w interpretacji roli Brabancja: (podaję z pamięci) Aktor winien sobie wyobrazić, co uczyniłby przedstawiciel naszej arystokracji, gdyby jego córka weszła w kontakt z takim....

W teatrze im. Mossowietu widzimy innego Otella. Osobiście odnieśliśmy wrażenie, że reżyserska koncepcja Jurija Zawadzkiego była korygowana ze względu na materiał aktorski. Obserwując Mordwinowa w innych rolach, mogliśmy wyrobić sobie zdanie o charakterze jego talentu. Mordwinow umie operować głosem, gestem i mimiką. Jego wielki, dramatyczny głos prócz przyrodzonego brzmienia posiada dobrą szkołę: wzniesienia i spadki, falistość, przeciąganie otwartych samogłosek, płynność i potoczność, a także wielka skala od pianissimo do fortissimo.

Otello Mordwinowa, choć nie przestaje być królewskim synem i prawą ręką księcia weneckiego do ważkich poruczeń — ujawnia w dużym stopniu cechy swej rasy, pierwotnymi wybuchami, wielkim liryzmem i barwną wyobraźnią. Jest wrażliwszy i mniej wyrafinowany niż Otello Stanisławskiego. Ale mimo to wszystko, zgodnie ze szkołą twórcy nowego teatru, na „czystym temperamentie“ gra rzadko i nie zapomina o czujności, precyzji i konsekwencji. Właśnie precyzji: W momencie cytowanym przez Berwińską, mianowicie zamiany chustki, Mordwinow gra na tempo. Przejęcie od przytłaczających podejrzeń do wiary, a za nią do radości i znów do tym straszniejszej rozpacz, przeprowadza Mordwinow w przeciągu kilkunastu sekund. A przecież panuje tu duża precyzja i psychologiczna prawda, a co ważniejsze, zgodność z szekspirowskim tekstem. Otello już nawykł do bólu — dlatego radość jest tak gwałtowna, że graniczy z obłędem. Ale, gdy przychodzi ponownie rozpacz, większa jeszcze, bo połączona z zupełną pewnością — wówczas Otello wraca do niej spłoszony swym szczęściem i zamyka swe cierpienie głęboko w sercu.

Desdemona

...Nie mam jej przy sobie.
(chustki)

Otello

Nie?

Desdemona

Nie, naprawdę mój mężu.

Otello To szkoda...*)

To tylko „szkoda“ — wedle głęboko finezyjnego tekstu Szekspira. To tylko „szkoda“ — wedle cichego głosu Mordwinowa.

Warto dodać, uzasadniając tezę o korygowaniu pomysłu Zawadzkiego materiałem aktorskim, że Stanisławski rozegrał scenę z chustką inaczej.

*) Cytaty w przekładzie Zofii Stwickiej.

Sięgnął po patos, ale osłabił tempo. Bo po słowach Otella:

Okrutny katar mam, co mi dokucza,
Pożycz mi chustki —

wysłał Desdemonę do garderoby.

Otello zostaje sam, celem powolnego, mimicznego rozegrania scenki. Ale przecież ciekawą jest rzeczą, że sam moment błysku nadziei, nieuwzględniony przez Szekspira, a wprowadzony przez Stanisławskiego został zachowany przez reżyserów Otella w teatrze moskiewskim.

W myśli przewodniej inscenizacji Otella z Kaczalowem i Otella z Mordwinowem istnieje jeden punkt, naszym zdaniem bardzo istotny, w którym obie koncepcje różnią się poważnie, na korzyść Zawadzkiego. Sądzimy, że moment, gdy Otello woła „Ja czarny, czarny“, jest momentem uświadomienia sobie nieodwracalności losu. Stąd też z perspektywy katastrofy prywatnej, ale rozgrywającej się z przyczyn większych i ważniejszych — dalsze działanie Otella jest już przesądzone aż do ostatniej chwili.

„...Jeszcze powiedziecie, że kiedyś w Aleppo Zuchwały tureczyn bił, spowity w turban Weneccjanina i złorzeczył państwu. Psa rzezanego chwyciwszy za gardło Tak go przebiłem“.

(przebija się)

Murzyn — bohater i generał wykonał swój obowiązek państwowy dzięki swemu talentowi. Murzyn ginie nie jako bohater wojny wenecko-tureckiej ale jako Murzyn, któremu stała się wielką krzywdą własne dlatęgo, że nie jest białym. Oto genialne, szekspirowskie rozwiązanie konfliktu klasowego a tak bardzo osobistego.

Stanisławski ów przełomowy moment, znaczący okrzykiem „Ja czarny, czarny“, w swym pomysle zapisał jako dochodzenie przyczyn; Zawadzki — jako nagłe olśnienie. Sta-

nisławski oznaczył na marginesie „piano“, Zawadzki kazał swemu Otello krzyżeć. Sądzimy, że Zawadzki uczynił słusznie.

W uwagach naszych pragnęliśmy jeszcze rozważyć krótko sprawę dekoracji.

Stanisławski był w scenografii i kostiumologii zwolennikiem idealnej wierności i realizmu. Specjalne podróże do Wenecji i na Cypr miały na celu poznanie nie tylko stylu, w jakim należało wykonać rekwizyty, ale całej atmosfery, światła, pejzażu. Stąd kostjmy i dekoracje, jakie w szkicach mieliśmy możność oglądać odpowiadają idealnie epoce, we wszystkich szczegółach i ornamentach. Teatr im. Mossowietu poszedł na daleko posunięte uproszczenie. Nie może to budzić merytorycznie żadnego sprzeciwu.

W myśl koncepcji Konstantego Stanisławskiego dekoracja, kostium i wszystkie inne dodatki składające się na plastyczną część spektaklu winny być podporządkowane aktorowi. Do tego stopnia że kostium projektowany był nie na abstrakcyjnego bohatera, a na figurę i typ konkretnego odtwórcy. Realizm dekoracji do Otella, jakie zatwierdził Stanisławski, nie przeczył w niczym humanistycznej teorii jego sztuki, ponieważ nie rozpraszał uwagi i nie był obliczony na olśniewanie. Stanowił ramy dla działania słowa, gestu i serca.

Teatr im. Mossowietu poszedł jeszcze dalej. Symbolizując epokę szczegółami — w istocie cofnął dekorację i kostium głębiej jeszcze poza problem człowieka i jego spraw.

Tak więc trzeba stwierdzić, że teatr im. Mossowietu jest wierzącym wykonawcą testamentu twórczego mistrza Stanisławskiego. Jest wykonawcą idei, a nie recepty. Rozumie, a nie naśladowuje. Myśli i nie kopiuje. Pionierów, wielkich ludzi przelomu cechuje zawsze szacunek dla własnych myśli i szacunek dla ich spadkobierców. Otwierają tylko drzwi i wpuszczają czywczę powietrze.

O pojmovaniu miłości bliźniego

(Dokończenie ze str. 1)

tem troska o maksymalny rozwój człowieka, postulująca obowiązek owocnego wykorzystania wszystkich jego możliwości winna jednocześnie obejmować zaspokajanie jego wciąż zmieniających się i poszerzających potrzeb. Stąd wynika podstawowa konieczność poznawania i wykorzystywania dla dobra społecznego a nie tylko dla dobra jednostek — praw ekonomicznych i społecznych rządzących życiem zbiorowym, stąd wynika konieczność poznawania ludzkich potrzeb biologicznych i kultu-

ralnych oraz przewidywanie kierunku ich rozwoju.

O ile mamy niemal nieograniczone możliwości służby dobru bliźniego w zakresie poprawy jego życia doczesnego, o tyle nie można zapominać, że życie nadprzyrodzone to życie Łaską, której szafarzem jest Kościół Katolicki. Zadaniem każdego z nas, Jego wiernych jest wzmacniać swój wysiłek współdziałania z Łaską, nigdy jednak nie wolno sobie przypisywać możliwości Jej zastąpienia.

Janina Kolendo

Str. V

9. POROZMAWIAJMY	W. K.: „ nr 35 (353)	„ nr 46 (364)	DZIAŁ VI
W. K.: Porozmawiajmy nr 6 (324)	10. AKTUALIA KSIĘGARNIANE	„ nr 47 (365)	V A R I A
W. K.: „ nr 7 (325)	an: Aktualia księgarskie nr 16 (334)	„ nr 48 (366)	Bednorz Zbyszko: Braki i sukcesy nr 3 (321)
W. K.: „ nr 8 (326)	„ nr 18 (336)	„ nr 49 (367)	Inicjatywy i zadania nr 19 (337)
W. K.: „ nr 10 (328)	„ nr 23 (341)	„ nr 50 (368)	Chaplin Charles: Apel do ludzi nr 44 (362)
W. K.: „ nr 11 (329)	„ nr 27 (345)	12. WARSZAWA ROŚNIE	Greene Graham: Graham Greene do Charles Chaplina nr 47 (365)
W. K.: „ nr 12 (330)	„ nr 35 (353)	Warszawa rośnie nr 43 (361)	E. S.: Znaczenie Zygmunta Sierakowskiego w powstaniu 1863 nr 32 (350)
Z. L.: „ nr 13 (331)	„ nr 43 (361)	„ „ nr 45 (363)	Jochelson Andrzej: Biskup Nankier wzór godny naśladowania nr 17 (355)
W. K.: „ nr 14 (332)	„ nr 44 (362)	„ „ nr 46 (364)	J. P.: Kiedy przeglądam... nr 26 (344)
W. K.: „ nr 15 (333)	„ nr 45 (367)	13. FELIETON	Kruk Stanisław: Jak Król Jegomość „Zgromadzenie Liberyi Warszawskiej“ rozprusił nr 18 (336)
Z. L.: „ nr 16 (334)	„ nr 47 (367)	Kola: Kłopoty i bezdroża sztuki na Zachodzie nr 44 (362)	Kw.: Biskup kawalerzysta nr 28 (346)
W. K.: „ nr 18 (336)	Noty bibliograficzne nr 47 (365)	Zmierzch wielkiej nagrody nr 48 (366)	K. S.: Ewerest wciąż nie zdobyty nr 33 (351)
W. K.: „ nr 19 (337)	Jankowska Anna: Aktualia księgarskie nr 50 (368)	Migawki wiedeńskie nr 50 (368)	K. P.: Wymowa dwóch małych notatek nr 45 (363)
W. K.: „ nr 20 (338)	Notatki bibliograficzne nr 22 (346)	S. M.: Dama z gronostajem nr 49 (367)	
W. K.: „ nr 24 (342)	11. KILKA SŁÓW O:	Niewinni winowajcy nr 47 (365)	
W. K.: „ nr 25 (343)	Kilka słów o: nr 44 (362)		
A. M. K.: „ nr 28 (346)	„ nr 45 (363)		
W. K.: „ nr 30 (348)			
W. K.: „ nr 30 (348)			
AKR „ nr 34 (352)			

Jerzy KRZYSZTOŃ

O Samuelu Pepysie



Samuel Pepys
reprodukcja portretu pędzla Johna Halesa

„Imam się przedsięwzięcia, które dotychczas nie miało przykładu i nie będzie miało naśladowcy. Chcę pokazać bliźnim człowieka w całej prawdzie jego natury; a tym człowiekiem będę ja.” Już te słowa przez czającą się w nich pychę nastroją nieufnie, a kiedy Jan Jakub dodaje: „wyznałem dobre i złe z równą szczerością”, możemy w jedno tylko zwątpić — w szczerłość. Takie już niestety budzą się reakcje, gdy się słucha dzwonu chwały własnej, choćby dzwonnik zaklinał, że bije na smutek, nie na chwałę i że serce dzwonu drąży niejedną szczerba... W każdym razie można by nie bez podstaw posądzać autora „Wyznań”, że przyczynił się do powstania gatunku literackich ekshibicjonistów, którego mocno przejrzałym owocem był ostatnio np. André Gide,

Pan Samuel Pepys zaczął swój „Dziennik” na blisko 250 lat przedtem, zanim drugie tu wzmiankowane nazwisko się pojawiło, czyli, krótko mówiąc, w roku 1660. I czy ludzie wtedy byli inni niż w czasach Rousseau’a, niż w czasach Gide’a, czy też nie potrafili mówić pewnych rzeczy głośno, dość na tym, że pan Samuel był wstydlivy. Nie można by tego powiedzieć, gdy się czyta ot tak po prostu jego Dziennik, ale gdy się ma świadomość że w oryginalnie został napisany specjalnym szyfrem — trudno się temu wrażeniu oprzeć. Bo inaczej cóż? Należałoby by tylko przypuszczać, że pan

Jerzy „Wyznań” Rousseau’a w tłum. Boya.

Samuel się bał. Bał się żony, króla, protektorów, przyjaciół, kochanek, każdego — komu wystawił na swoją modłę portrecik, co wydawało by się dziwne, albo raczej — „co dziwne”, jakby pan Samuel powiedział. Osłoniwszy się szyfrem jak parawanem Pepys nie musiał się wcale krępować. Ciekawe czy kiedyś przypuszczał, że potomni parawan usuną i stanie nagusieńki. Nie, taka myśl na pewno mu w głowie nie świeżała. I dlatego możemy śmiało powiedzieć, iż pan Samuel, już za parawanem, nie przybrał jakiegokolwiek odpowiedniej pozy na ową chwilę krytyczną. Pozostał szczery, za co mu od potomnych należy się bodaj... wyrozumiałość. Tej jednak Pepys się nie doczekał, skoro w trzechsetną rocznicę jego urodzin H. L. Stewart pisze: *ci, którzy znają oryginalny Dziennik, wiedzą dobrze, iż całkiem nieoczyszczona wersja nie może się nigdy ukazać drukiem, przynajmniej w Anglii.* Na szczęście w tym czasie, któremu Pepys od lat podlegał, coraz bardziej ludzkie obowiązują normy i dziś Dziennik przedstawia się całkiem krwawie, choć początkowo był tak mdły jak Rabelais w wypisach szkolnych.

Ze skrupulatnych zapisków Pepysa, jak powiadają krytycy, urosło dzieło stanowiące unikat jako autobiografia. Ale czy Dziennik jest dziełem sztuki? Wątpliwe żeby Pepys zaczynając swoje notatki czynił to świadomie w imię zamierzeń artystycznych. Przede wszystkim w

XVII wieku pisanie dzienników było w modzie, tak jak w XX pisanie powieści. Stwierdza to sam Pepys w kilku wzmiankach, stwierdzają to nazwiska Johna Evelyny i innych. A pan Samuel modzie chętnie ulegał, gdyż był prawie we wszystkim człowiekiem na miarę swoich czasów. Trudno jednak przypuszczać, żeby ktoś z uporem maniaka przez dziewięć lat zasmarowywał bitych kilka tysięcy kartek papieru tylko dlatego, że było to w modzie. W Pepysie tkwiła niewyżyta pasja pisarska, przynajmniej co do tego nie ma wątpliwości. Był to człowiek, który chciał się wypisać i umiał się wypisać. Miał po temu możliwości nie lada. Uwielbienie życia i bystre oko realisty. W swoim Dzienniku, jak szczery artysta, służył jednej tylko zasadzie: równouprawnienia wszystkich przejawów życia. Nie istniały dlań rzeczy błahe, trywialne, niegodne słowa; wszystko, co dawało świadectwo życia było właśnie tego słowa godne. I tę jego cechę nazwać by trzeba pasją utrwalania świata na gorąco z przekonaniem, że paszтет z dziczyny i pożar Londynu równe mają prawo do istnienia w porządku rzeczy. W tym też świetle cynizm ze strony Pepysa będzie zawsze niezamierzony, choćby nawet autor notował z całym spokojem, jak pod datą 19 października 1660 r.: „Dziś rano skończyli wykladać moją jadalnię zielonymi szpalerami i złoczoną skórą. Dziś rano Hacker i Artel zostali powieszani i półwartowani”.

W swoim realizmie jest Pepys nie dościgniony, odziedziczył bowiem całą kowicę od fikcji literackiej. A że przyszło mu to tak naturalnie, nie trzeba tej pana Samuelowej zastugi przeceniać. Boć przecież nie miał on czasu na splecenie wydarzeń we frapującą akcję, na drobiazgową analizę postaci, na wyznaczenie im nieodwołalnego losu, jak koncepcja artystyczna wymaga. Nie pisał powieści, choć napewno by potrafił i to na ładnych parę lat przed pokoleniem Richardsonów, Fieldingów i Sterne’ów. Chciał tylko zanotować życie, żeby mu nie przeciekło między palcami — w niepamięć. Każdy dzień, chociaż kończy się u Pepysa sakramentalnym: „i do łóżka”, był dlań jednak niespodzianką. I cała sztuka polegała na tym, żeby wyrażenie tej niespodzianki zachować, ustrzec się monotonii i rutyny, żeby ze zdarzeń codziennych, zwykłych nie raz i wcale przeciętnych, wyłuskać całą ich zwykłość i całą ich przeciętność — a wtedy stawały się właśnie niepowtarzalne. Pożar Londynu i za razą to były dwa błyski niezwykłe; Pepys je świetnie uchwycił, ale trzeba pamiętać, że on sam był przede wszystkim po stronie codzienności. I

właśnie w tej sytuacji potrafił nasycić swój Dziennik tym, bez czego byłby tylko suchą kroniką, martwym świadectwem wystawionym swojej epoce na dowód, że istniała — potrafił nasycić go prawdą życia.

Pomogło mu w tym właśnie owo bystre oko. Jakże świetnie widział ludzi, umiał ich podpatrzeć, potrafił przeniknąć poza osłonę cech zewnętrznych. Przy tym nie był gadatliwy. Ta szczególna lapidarność może wywołać wrażenie, jakoby Pepys zamykał swoich bliźnich w formułki, jak ową lady Abermale, o której powiada, że była zwykłą kwoką domową. W istocie tkwiła w tym jednak precyzja widzenia: jakiś szczegół, jakiś drobiazg umiejętnie podchwycony i oto pada światło na całą osobowość człowieka. Takiej galerii postaci nie powstydziłby się Balzac, chociaż Pepys przy całej żyłce psychologa, daje tylko szkice, sylwetki mniej lub więcej wyraziste, ale jakże różnorodne. Dmy z wielkiego świata sąsiadują tu z szynkarkami, dworacy ze służbą, król z owym kapitalnym grabarzem z kościoła św. Brygidy. Na określenie tego bogactwa trzeba by powtórzyć za Pepyssem słowa, które wyrzekł zupełnie przypadkowo: „warto było zobaczyć tę najdziwniejszą rozmaitość ludzi od posłów Parlamentu do najuboższych czeladników, piekarzy, piwowarów, rzeźników, woźniców, i kogoż tam jeszcze nie było!” A nade wszystko warto zobaczyć tylko jedną pełną postać, jaką w Dzienniku stworzył — arcydzieło studium ludzkiego podłostek, namiętności, wzruszeń i dążeń — postać Samuela Pepysa. Karierowicza i wielbiciela pracy, dusigrosza i miłośnika sztuki, zazdrosnego małżonka i amatora przygodnych miłostek, światowca i plebejusza. Indywidualność, której moc przekonawająca polega właśnie na starciu sprzeczności.

Tak jak ludziom, Pepys umiał nadać się i żywość zdarzeniom. Powoli, dzień za dniem, splatają się one coraz płynniej w wątki, okraszane suto materiałem anegdotycznym i szczególnym humorem autora. Pepys nie tylko notuje, ale też wyraża zaw sze swój krytyczny sąd. Nie, żeby był moralizatorem, skądże, nie miał nigdy zapędów dydaktycznych. Jeśli pisał chociażby takie słowa: „wziąłem żonę do mego krewnego, gdzie trafiliśmy na obiad, co bardzo dobrze; jeno że paszтет z dziczyny bardzo zalatywał wotowiną, co nieładnie” — kierował się tylko zdrowym rozsądkiem, a to już bardzo wiele.

Dlatego też świat na kartach Dziennika jawi się wyraziście i plastycznie. Szerokość spojrzenia na sprawy polityki, przemian społecznych, wypadków kulturalnych daje wrażenie pełni w scharmonizowaniu z życiem prywatnym człowieka, który

tak dobrze umiał patrzeć. Jedną miał tylko wadę wzroku. Był choć genialnym ale krótkowidzem. Jeśli czasem niepewnie sięgnął poza do czasu kwitował to szybko wielce przygodną refleksją. Nic dziwnego, jako krótkowidz wielbił konkret, ce nił tylko to, co mógł pomacać. Już w swojej epoce, chociaż wrzała od tarć religijnych, zapowiadał typ współczesnego Anglika, któremu sprawy wiary są przeważnie obojętne. Boga pojmuwał cokolwiek po kupiecku, widział w Nim kontrolera swoich postępów i sprawcę zysków, jakie nader często mu się przytrafiały.

Ale w kręgu swoich doznań Pepys był artystą nieprzeciętnej miary. Bo jakże nie mieć zaufania do pisarza, u którego się dobrze jada. „Klub Pickwicka”, w którym by czterej przyjaciele ani razu nie usiedli do stołu, straciłby połowę czararu. A u Pepysa: „zakąśliśmy ostrzygami, ja zaś podałem gościom na pierwsze danie siekankę z królików, jagnię i rzadkiej dobroci polędwicę wotową. Potem wielkie danie z pieczonego drobiu — kosztowało mnie bez mała 20 szylingów — a potem tort, owoce i ser”.

A styl Pepysa? Ten rwany, telegraficzny jakbyśmy dziś powiedzieli i tok mowy. R. L. Stevenson, sam wielki stylista, tak się o nim wyraził: „styl, który na przestrzeni sześciu grubych tomów kroniki doznał codziennych pozostałe niezmiernie żywy, wymowny i obrazowy, który unika w ogrom spraw życiowych, a jednak prawie nigdy nie nuży, który zniża się ku najbardziej wymyślnym drobiazgom, a jednak zmywa i unosi wszystko w bystrym strumieniu narracji — taki styl może być niegramatyczny, może być niewytoczny, może być jednym ciągiem pomylek, ale nie może być pozbawiony zastugi”.

Jednością i barwą tego języka oddała doskonale Maria Dąbrowska. I co najbardziej może zachwyca, to umiar i konsekwencja w zastosowaniu archaizacji. Nieczęsto zdarza się spotkać tak klarowny przykład. Materiał, z którym pisarka polska miała do czynienia był ogromny. Dziennik w oryginalnie to nie bagatela — 3000 stron druku. Nic więc dziwnego, że Dąbrowska zdecydowała się na wybór, ale tak sumienny w intencjach, jak tylko być może. Z Dziennika Pepysa, jak praktyka wydawców angielskich wskazuje, można wykroić kronikę polityczną, opowieść obyczajową, czy wreszcie stonowaną w myśl szczególnych zasad moralności — autobiografię. W polskim wyborze Pepysa nie spotkała krzywda, wyszedł choć uszczuplony, ale prawdziwy, jak człowiek, który chociaż stracił na wadze, nie przestaje być przecież samym sobą.

Jerzy Krzysztoń

Str. VI

Licho: A to kto? nr 51-52 (369-370)
Lichniak Zygmunt: Szermierz spraw trudnych (wspomnienie o śp. J. Górskim) nr 49 (367)
Olezkiewicz Konstanty: Woda sodowa nr 7 (325)
P. G. Tadeusz Makowiecki (z żałobnej karty) nr 22 (340)
Władysław Konopczyński (z żałobnej karty) nr 38 (356)
Słwkowska Janina: Zwyczajnie wielkopostne w dawnej Polsce nr 14 (322)
Wierzbicki Tadeusz: Znaczenie przestrzeni zielonych w miastach nr 11 (329)
Zajączkowski Andrzej: Vivat naród. Vivat wszystkie stany. nr 18 (336)
Żur. Kogo wychowują szkoły amerykańskie nr 33 (351)
Problem „odepchniętego ojca” o życiu rodzinnym w Ameryce nr 34 (352)
Był pośród nas nr 46 (364)

Czytelnicy piszą nr (363)
Godzina kultury francuskiej nr 26 (344)
Insurekcja nr 14 (332)
Jak wyglądał grób św. Piotra (opr. K. K.K.) nr 27 (345)
Jubileuszowy wieczór w ZLP. nr 27 (345)
Komunikat o przyznaniu nagrody im. W. Pietrzaka nr 24 (342)
Miasta nasze królewskie wolne (Z prawa o Miastach z dn. 18.IV.1791) nr 18 (336)
Los dzieł greckich (zestawiła J. K.) nr 22 (340)
Od przyjaciół z N.R.D. nr 3 (329)
Sekretariat Generalny Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej Niemiec — List nr 49 (367)
Świat czei W. Hugo nr 13 (331)
Tegoroczne Nagrody Państwowe nr 31 (349)
Ustawa rządowa (Z tekstu Konstytucji 3 maja) nr 18 (336)

Wyniki konkursu im. K. Pruszyńskiego nr 3 (321)
Zgon Jerzego Borejszy nr 4 (322)
Z ostatniej chwili. Laureaci nagrody im. W. Pietrzaka nr 24 (342)
Zyg.: Co kraj to obyczaj nr 13 (331)

DZIAŁ VII DOKUMENTY

Apel Przedstawicieli kościołów i zrzezeń religijnych ZSRR
Apel ogłoszony przez katolików biorących udział w Konferencji Berlińskiej nr 48 (366)
Deklaracja Episkopatu nr 41 (359)
Dyskusja Konstytucyjna rozpoczęta (Przemówienie Prezydenta Bieruta nr 6 (324)
Echa Wrocławia. (Apel do katolików niemieckich) nr 1 (319)
Front Narodowy rośnie nr 44 (362)
Ks. Biskup Franciszek Jony wikariuszem ka-

pitulnym archidiecezji krakowskiej nr 51-52 (369-370)
Oświadczenie Episkopatu nr 51-52 (369-370)
Pierwsza sesja Sejmu nr 48 (366)
Projekt Konstytucji nr 7 (325)
Prymas Polski kardynałem nr 51-52 (369-370)
Siódme plenum nr 26 (344)
Skład Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego nr 36 (354)
„Trwać i czynić tę ziemię poddaną narodowi” mowa ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego na uroczystości odnowienia Kapituły Wrocławskiej w dn. 29 maja br. nr 24 (342)
Uchwała Ogólnopolskiego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego nr 45 (363)
Wskrzieszenie Kapituły Wrocławskiej nr 24 (342)
XIX Zjazd WKP(b) nr 42 (360)
Z wytycznych piątej pięciolatki w ZSRR nr 36 (342)

Szymon DEREŃ

DE GAULLE I GAULIŚCI

W NUMERZE poprzednim naszego pisma omawialiśmy początki gaulizmu na tle książki Jacques Soustelle'a „Envers et contre tout”. Przy czytaniu jej rzuca się przede wszystkim w oczy czysto emigracyjny charakter tego ruchu w latach drugiej wojny światowej i jego usilne, przeważnie bezskuteczne, starania zdyskontowania na swoją korzyść akcji oporu przeciwko okupantom we Francji.

Zdarzyło się, że autor niniejszych uwag był we Francji w okresie po kapitulacji rządu Pétaina i miał okazję zetknąć się z nastrojami i poglądami różnych kół społecznych. Już wówczas było jasne, że na ich stosunku do powstającego ruchu gaulistowskiego bezwzględnie ciążyło traktowanie jego przywódców jako swego rodzaju francuskiej odmiany „bohaterów szosy zaleszczyckiej”. Powodowało to powstawanie muru niezrozumienia między „nami a nimi”.

Pozostające pod okupacją hitlerowską społeczeństwo francuskie nie orientowało się jeszcze, iż pod płaszczykiem gaulistowskich hasel patriotycznych walczy do końca u boku aliantów przeciwko agresorom, kryje się treść zdecydowanie wsteczna. Zanim jeszcze szerokie masy narodu francuskiego zrozumiały, że jedynie obóz antyfaszystowski kierowany przez komunistów prowadził kraj do bezkompromisowej i prawdziwie patriotycznej walki z hitlerowcami, bojownicy francuskiego ruchu oporu traktowali de Gaulle'a i jego Komitet jedynie jako czynnik przynoszący im pomoc materialną i techniczną z zewnątrz, nie uznając go nigdy za przywódcę politycznego, a zwłaszcza za przyszłego dyktatora. Gauliści nie kwapili się bynajmniej do organizowania i popierania czynnej walki z okupantem, lecz gromadzili w pierwszym rzędzie siły dla zapewnienia sobie objęcia władzy po wyzwoleniu, dostarczając przy okazji wiadomości wywiadowczych sztabom brytyjskim dla usprawiedliwienia racji bytu swej organizacji. W tej ich taktyce należy szukać klucza do zrozumienia istoty ruchu gaulistowskiego.

Pomimo formalnego zwycięstwa, odniesionego podczas pierwszej wojny światowej, burżuazja francuska wyszła z tych zmaganiń niezmiernie osłabiona. Na daleką metę obrzynała część zysków zrealizowały Stany Zjednoczone, bezpośrednio zaś triumfotorem była na razie Wielka Brytania, która, operując swą tradycyjną zasadą równowagi europejskiej, szachowała Francję przed odradzeniem militarystyki niemieckiej i usiłowała włączyć w swe ręce kierownictwo obozu kapitalistycznego w jego walce przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Francja straciła już swe pozycje czołowego mocarstwa imperialistycznego, a jej próby ratowania swych wpływów w oparciu o utworzoną przez nią konstelację uzależnionych od Francji mniejszych państw w Europie Wschodniej i Południowo-Wschodniej, nie ostały się wobec popierania Wielkiej Brytanii przez Stany Zjednoczone. Wzrastająca aktywność mas w koloniach i metropoliach zmusiła burżuazję francuską do szukania oparcia na zewnątrz dla zabezpieczenia swych panujących pozycji. Na tym tle doszło do kapitulacji burżuazji francuskiej przed postulatami kierowniczych sfer państw składowych i do coraz większego uzależnienia polityki zagranicznej międzywojennych rządów Francji o stanowiska Londynu.

Dyktowana przez Wielką Brytanię polityka ustępstw i współpracy z militarystami niemieckimi powodowała narastanie w pewnej części burżuazji francuskiej tendencji do zabezpieczenia swych interesów w drodze bezpośredniego oparcia się o hitlerowską Trzecią Rzeszę, z ominięciem pośrednictwa Londynu. Pod tym względem znamieną była ewolucja znanego polityka Flandina, który z czołowego rzecznika aliansu francusko-angielskiego stał się w okresie Monachium jednym z najczynniejszych, obok Laval, promotorów koncepcji współpracy z hitlerowskimi Niemcami.

Klęska militarna Francji w czerwcu 1940 r. wzmogła niezmiernie tendencje prohitlerowskie w burżuazji francuskiej. W obliczu trwającej nadal wojny między Niemcami a Wielką Brytanią przeważała tendencja oparcia się o hitlerowców dla zabezpieczenia się przed coraz konkretniejszym niebezpieczeństwem rewolucji wewnętrznej. Wyrazem tego był kolaboracyjny rząd Pétain—Laval, który przy pomocy władz okupacyjnych rozpoczął jawnie zwalczanie wszelkie ruchy postępowe i demokratyczne. Jeżeli bezapelacyjne kapitulowanie przed okupantami wywoływało pewne opory wśród większości burżuazji francuskiej, to jej przynajmniej większość poparła całkowicie dyktatorski reżim Vichy na odcinku polityki wewnętrznej, a więc antykomunistycznej. Część burżuazji usiłowała przykryć na zewnątrz współpracę z hitlerowcami za pomocą głoszenia zasady „atentyzmu”, czyli wycieknięcia na wyjaśnienie się, kto będzie ostatecznie zwycięzca: Niemcy czy też Anglo-Amerykanie. W tym ostatnim wypadku, ta część burżuazji francuskiej szycowała się z góry do oddania się pod protekcję Stanów Zjednoczonych.

Pewna część burżuazji została jednak w momencie klęski wojennej wierna swej dotychczasowej polityce opierania się o Wielką Brytanię. Wobec neutralności wówczas jeszcze Stanów Zjednoczo-

nych, liczyła ona, że ostateczne zwycięstwo przypadnie Anglii i że powróci ona do władzy przy jej pomocy. Rzecznikiem tej części burżuazji francuskiej stał się de Gaulle i jego Komitet londyński. Zrozumiał on, jaką kolosalną siłę przedstawiają rzucone już wówczas przez komunistów hasła walki (levée en masse) całego ludu Francji przeciwko najeźdźcom hitlerowskim.

De Gaulle postanowił więc zagrać na tym atucie i wystąpić w roli naczelnego przedstawiciela hasła jedności narodowej w aktywnej walce przeciwko okupacji niemieckiej. Usiłowanie zmonopolizowania dla siebie patriotyzmu miało mu utorować drogę do objęcia władzy po wojnie i ratowania w ten sposób panujących pozycji burżuazji. Ta część sfer posiadających, których był on rzecznikiem, zdawała sobie sprawę, iż gaulizm dysponuje mniejszością nawet wśród burżuazji, dlatego przyszłą władzę widziała tylko w formie dyktatury. Ni więc dziwnego, że poparła całkowicie personalne ambicje de Gaulle'a.

Cała taktyka gaulistów podczas wojny odpowiadała temu „zamówieniu społecznemu”. Głównym nieprzyjacielem pozostawały zawsze dla gaulistów siły postępowe i rewolucyjne, toteż bez łączyli się przeciwko nim we wspólnej akcji z poszczególnymi konkurentami w obozie burżuazyjnym, bądź też stosowali wobec nich taktykę obłudnej współpracy, mającej na celu ich skrupowanie i zaszachowanie w momencie wyzwolenia.

Gauliści główne wysiłki koncentrowali na zapewnienie sobie po wyzwoleniu pozycji kluczowych przesądzających o możliwości niedopuszczenia do władzy przedstawicieli prawdziwego Ruchu Oporu. Gra ta odpowiadała całkowicie interesom brytyjskich protektorów gaulistów. W ostatnim momencie udało im się przekonać Amerykanów, iż jedynie rząd z de Gaulle'em na czele zapo-

biec może objęciu władzy przez komunistów.

Gauliści byli zbyt słabi na terytorium Francji, aby mogli sięgać po dyktaturę, mając przeciwko tym zakusom zdecydowaną postawę całego ludu, który z taką ofiarnością walczył z okupantem. Przy pomocy jednak Anglo-Amerykanów udało się im stworzyć rząd koalicyjny z de Gaulle'em na czele, który przystąpił natychmiast do paraliżowania sił postępowych, kierowanych przez Partię Komunistyczną. W wyniku wysiłków gaulistów reformy demokratyczne, które wypisane były na sztandarach Ruchu Oporu, zostały zrealizowane tylko w sposób połowiczny.

Rozgrywki konkurencyjne między Anglikami i Amerykanami, jak również sceptycyzm tych ostatnich co do możliwości stworzenia przez de Gaulle'a zwartego bloku burżuazji przeciwko siłom demokratycznym i postępowym, spowodowały, że władza jego nie była długotrwała. Amerykanie uznali, że lepszym przewodnikiem ich polityki będzie chwilowo tzw. „trzecia siła”, t.j. blok reformistów Bluma, M.R.P. i radykałów.

W obliczu potężnej fali rewolucyjnej, wywołanej zwycięską walką narodowego Ruchu Oporu, obóz burżuazji szukający oparcia w Stanach Zjednoczonych, zaczął operować frazeologią lewicową, wręcz sprzeczną z jawnie faszystowską ideologią gaulizmu. Po wyzwoleniu, na czoło wysunęli się przywódcy socjalistów, chadeków i radykałów, którzy w czasie okupacji współpracowali z komunistami w ramach Krajowej Rady Ruchu Oporu. Jednakże do szeregów MRP napływać zaczęły coraz liczniej skrytykowane maskujące elementy reakcyjne. Usiłowały one odsunąć na plan drugi czynniki postępowe i demokratyczne w tym ruchu. Również u socjalistów i radykałów wzięli górę przedwojenni zbankrutowani politykerzy. Tak powstał więc podstawowy zrab partii amerykańskiej we Francji.

De Gaulle odsunięty został od wpływów i władzy. Zrozumiał, że trzymając się Anglików postawił na złego konia. Zmienił więc orientację. Operując nadal frazeologią patriotyzmu, francuskiej racji stanu i konieczności jedności narodowej, rozpoczął ostrą walkę ze starymi partiami politycznymi, głosząc, że nie są one w stanie prowadzić należyte wydatnej walki z „niebezpieczeństwem komunistycznym”. Stworzył już jawnie faszystowską partię (R.P.F.), która służyła po władzę pod sztandarem mobilizowania wszystkich elementów skrajnie reakcyjnych dla bezwzględnego stłumienia sił obozu pokoju i demokracji we Francji. Połączywszy w swych szeregach wszystkie niedobitki reżimu vichystowskiego i zyskawszy sobie swą demagogią pewne warstwy drobniomieszczańskie, de Gaulle ofiarował swe usługi Amerykanom, twierdząc, że on jedynie jest w stanie stworzyć rząd, który przeprowadzi radykalną rozprawę z ruchem rewolucyjnym.

W zasadzie oferta ta została przez Amerykanów przyjęta. Gauliści stanowią więc dziś skrajne skrzydło proamerykańskie we Francji, nominalnie pozostające jeszcze w opozycji, lecz stanowiące rezerwę na wypadek, gdy okoliczności będą wymagały stworzenia rządu jawnie faszystowskiego. Chwilowo wygodniejszy jest Amerykanom rząd Mayera, który bezwzględnie reakcyjną politykę przeprowadza przy zachowaniu pozorów „demokracji parlamentarnej”.

Pozorny paradoks połączenia się zwalczających się dawniej sił reakcyjnych przeciwnikom: zwolenników Pétain'a i gaulistów, tłumaczy się więc bez trudu. Już podczas wojny przedstawili oni sobą jedynie dwie taktycznie różniące się odmiany tego samego obozu. Łącząc ich zawsze wspólna zażarta walka z demokracją, a dzisiaj dyktowała przez Amerykanów polityka współpracy z odradzającym się imperiaлизmem niemieckim zniwelowała ostatecznie różnice.

Szymon Dereń

Maria STARZEWSKA

Pamięci Kazimierza Piętki

Zmarły w 1951 r. artysta Kazimierz Piętka, kształcił się w Krakowie w Państwowej Szkole Przemysłu Artystycznego w latach 1921



K. Piętka — „Chrystus” 1949 r.

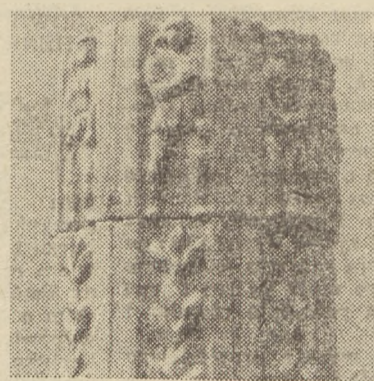
—28. W tejże szkole zostaje profesorem malarstwa dekoracyjnego. Na tym stanowisku wykonuje szereg polichromii kościółów w Krakowie, na Śląsku i na Podhalu. Dopiero w czasach okupacji zaczyna się interesować ceramiką, studiując najpierw to zagadnienie teoretycznie, a zaraz po wyzwoleniu realizuje kilka swoich pro-

jektów, z których niektóre zakupił Biuro Nadzoru Estetyki Produkcji. W 1947 Kazimierz Piętka stworzył własną pracownię ceramiczną w Krakowie przy ul. Szlak 51, a w 1948 r. buduje w niej piec mufłowy, w którym sam wypala wszystkie swoje wyroby.

Do problemu zastosowania ceramiki w dewocjonalach podchodzi jako artysta, który chce wyprzeć ogólnie rozpowszechniony banalny typ tych wyrobów, oparty w większości na kosmopolitycznych wzorach. Podstawą twórczości Piętki w tej dziedzinie jest nasze garncarstwo ludowe ze swoimi świętkami, których produkcja szczególnie bogato rozwija się w ilżęckim. Formy ludowe przechodzące z pokolenia w pokolenie, prostota, a nieraz lapidarność stosowanych środków artystycznych, to wzór, który pobudza wyobraźnię artysty. Sam pomysł oparcia się o sztukę ludową nie jest zresztą nowy w naszej ceramice. W okresie międzywojennym do najbardziej zasłużonych na tym polu artystów należała Wanda Szraiberówna. Obecnie pracująca w Bielsku artystka Halina Pawlikowa, także opiera swą twórczość na beskidzkiej sztuce ludowej.

Kazimierz Piętka wprowadza do swej ceramiki dewocjonalnej nowe wartości malarskie. Daje on bardzo ciekawe zestawienia barwno w szklanych, których nie odgranicza między sobą ale pozwala się im lekko zlewać w miejscach styku. Jest taką małą kapliczką z Matką Boską

Czestochowską, gdzie tylko kolory szklaw, znaczą poszczególne części przedstawienia, twarz, ręce, szatę itd., co daje bardzo piękny realistyczny obraz całości. Forma kapliczki powraca często u Kazimierza Piętki i nadaje jego wyrobom tak urzekający urok. Drugą nowością wprowadzoną przez artystę, jest połączenie ceramiki z drzewem; figurkę Madonny np. oprawia w drzewo o widocznych naturalnych słojach. Ceramicy figurkę Chrystusa Ukrzyżowanego umieszczają na drewnianym krzyżu.



K. Piętka — Kolumna przedkościółowa” (fragment) 1950 r.

Jako długoletni profesor malarstwa dekoracyjnego, nie mógł Kazimierz Piętka pracując w ceramice—

nie zainteresować się jej zastosowaniem w architekturze. Pierwsze jego prace w tej dziedzinie, to płytki okładzinowe do Centrali Rybnej w Zakopanem i Baru Rybnego w Krakowie. Płytki te plastycznie formowane przedstawiają różne emblematy rybactwa, jak okrętek, matynarza, chłopca z rybą, kotwicę itd., wszystkie wkomponowane w koło wypełniające środek płytki okładzinowej. Najwyższy poziom swej twórczości artystycznej osiągnął Piętka w kolumnie ceramicznej, wykonanej dla Naczelnej Organizacji Technicznej w Krakowie. Kolumna podzielona została wzdłuż na poszczególne pola, co podkreśla jej strzelistość, a w polach tych umieszczono naprzemian postacie robotników i ornamentację roślinną. Fragmenty tej kolumny wystawione były w Warszawie na wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Architektury Wnętrza w Zachęcie, budząc ogólnie zainteresowanie. Zastosowanie ceramiki w architekturze nabiera dziś coraz większego znaczenia. Liczne płytki okładzinowe dla Nowej Huty czy dla MDM są najlepszym tego dowodem. Przed ceramiką otwiera się nowe pole dla twórcy, sięgające swymi tradycjami w dół odległe chyba czasy jeżeli wspomniąc fragmenty architektoniczne w kościele św. Jakuba w Sandomierzu z XIII w.

To też najbardziej bolesną była dla sztuki polskiej śmierć Kazimierza Piętki, artysty, który był świadkiem swych zamierzeń i umiał je realizować.

Maria Starzevska

Kilka słów o:

Plastyce

WALKA NARODÓW O POKÓJ



Walce narodów o pokój poświęcono wystawę w moskiewskim Gmachu Akademii Nauk ZSRR. Wystawa zaznacza bogatą literaturę radziecką o tematyce pokojowej, z książkami i broszurami, jakie ukazały się w krajach demokracji ludowej, jak również z publikacjami postępowych wydawnictw w USA, Anglii, Francji i innych krajach kapitalistycznych. W specjalnych gablotach umieszczono prace laureatów Międzynarodowych Nagród Stalinowskich „Za utrwalenie pokoju między narodami” przyznanych w roku 1952. Wystawę zamyka dział obrazujący prace Wiedeńskiego Kongresu Narodów w Obronie Pokoju.

„NIAN-HUA” W WARSZAWIE

W Klubie Książki i Prasy oglądaliśmy ostatnio bardzo interesującą wystawę chińskich „obrazów noworocznych” — „Nian-hua”, które są jednym z najstarszych rodzajów sztuki ludowej Chin, uprawianej szczególnie w ws.



Obrazy te przedstawiają życie codzienne chińskiego ludu, jego walki, radości i kłopoty. W oglądanych eksponatach uderza niesłychanie precyzyjność rysunku, realizm, rozmach i ekspresja.

ALGER 1952

W jednej z galerii paryskich otwarto niedawno wystawę prac dwojga postępowych malarzy-realistów francuskich: Mireille Mialhe i Borisa Taslitzky, którzy powrócili z podróży do francuskiej Afryki Północnej. Wystawione obrazy treścią swą odwołują się do arabskiego pod panowaniem kolonistów francuskich. Z kraju obfitującego w zboże, wino, tytoń, z kraju gdzie ro-

Wielka wymowa społeczna i humanistyczna dzieł postępowych malarzy łączy się z bogactwem artystycznym środków wyrazu. Najlepsze tradycje malarstwa francuskiego cechują twórczość świetnego malarza Borisa Taslitzky. Młoda malarka Mireille Mialhe, której obraz „Pochód Pierwszomajowy” oglądaliśmy na wystawie „Postępowego Malarstwa Francuskiego” w Warszawie, wykazała w swych pracach pełną dojrzałość artystyczną.



Mireille Mialhe — Dziewczyna arabska z bratem

dziły się fortuny miliardów, Boris Taslitzky przywiózł obrazy zatytułowane „Głód”, „Rodzina uboższego górnika”. Tragiczna rzeczywistość narzuca Mireille Mialhe modele piętnastoletnich dziewcząt arabskich o twarzach starych kobiet, modele dzieci w łachmanach.

Wielka wymowa społeczna i humanistyczna dzieł postępowych malarzy łączy się z bogactwem artystycznym środków wyrazu. Najlepsze tradycje malarstwa francuskiego cechują twórczość świetnego malarza Borisa Taslitzky. Młoda malarka Mireille Mialhe, której obraz „Pochód Pierwszomajowy” oglądaliśmy na wystawie „Postępowego Malarstwa Francuskiego” w Warszawie, wykazała w swych pracach pełną dojrzałość artystyczną.

Filmie

DWA NOWE FILMY DLA DZIECI



Na ekrany kin Związku Radzieckiego weszły dwa nowe filmy barwne dla dzieci: „Kasztanka” i „Pionierskie lato”. Pierwszy, oparty jest na noweli Czecho- wia pod tym samym tytułem, jest to film rysunkowy. Drugi, znanymi młodym widzom z ośrodkami wypoczynkowymi dla dzieci radzieckich.

FILMY CZESKIE

Laureat Nagrody Państwowej — reżyser Mirosław Cikán realizuje kolorowy film pt. „Przeziębienie”, według popularnej noweli wybitnej pisarki czeskiej Marii Majerowej. Treść filmu — to historia sabotażu, jak i miało miejsce w zakładach przemysłowych im. Stalina w Pradze w roku 1945.

W Pradze odbyła się uroczysta premiera nowego filmu czechosłowackiego, pt. „Anna Proletariuszka” według powieści zmarłego niedawno wybitnego pisarza czechosłowackiego Iwana Olbrachta.

NOWY FILM ALBAŃSKI

W Albańskim Teatrze Narodowym odbył się pokaz nowego albańskiego kolorowego filmu dokumentalnego pt. „Albania”. Film ilustruje piękno tego kraju oraz rozmach twórczej pracy narodu albańskiego. Został on nakręcony przez albańską wytwórnię filmową. W realizacji filmu „Albania” wzięły udział wybitny reżyser radziecki — I. Kopalin.

PLANY CHAPLINA

Charlie Chaplin był obecny na premierach swego filmu w Londynie, Paryżu, Rzymie. Wszędzie witały go rozentuzjasyzowane tłumy. Obecnie zatrzymał się na dłużej w Szwajcarii projektując nawet stałe tam osiedlenie, bowiem władze amerykańskie nie zmieniły swego stanowiska, uważając w dalszym ciągu genialnego reżysera i aktora za „nie pewnego i wyrotowanego obywatela”. Wobec tego, Chaplin zamierza pracować w Europie i nakręcić film, który rozgrywać się będzie w jednym z krajów Europy i zobrazuje stosunki panujące obecnie na Zachodzie.

Muzyce

„SOWIETSKAJA MUZYKA” O HENRYKU WIENIAWSKIM



Czasopismo „Sowiecka muzyka” zamieściło artykuł pt. „Wieńiawski w Rosji” poświęcony występowi wielkiego polskiego skrzypka-wirtuoza w Petersburgu i Moskwie. Artykuł zawiera m.in. urywki z wymiennymi listami między Wieniawskim a M. Rubinsteinem, oraz wypowiedzi o Wieniawskim krytyka muzycznego A. Sierowa. Dokumenty te świadczą o wiazach współpracy, łączących polskiego kompozytora z poste-

powym światem muzycznym ówczesnej Rosji.

KONCERT W RODZINNYM MIEŚCIE ELSNERA

Pietyzm, jakim otaczamy twórczość i postać Chopina, rozciąga się również na osoby z najbliższego mu otoczenia. Ostatnio w Grodkowie, rodzinnym mieście Józefa Elsnera — wychowawcy i nauczyciela Fryderyka — odbył się uroczysty koncert Opolskiej Orkiestry Symfonicznej, który ścigał tłumy publiczności. Koncert ten nagrany został przez Polskie Radio na taśmę magnetonową.

70-LECIE URODZIN HERMANA ABENDROTHA

Profesor Herman Abendroth, znany w Polsce z gościnnych występów, obchodził dnia 19 stycznia 70-lecie swych urodzin. W przeddzień tego dnia na uroczystym wieczorze w „Deutsches Theater” w Weimarze dyrygował on operetką Jana Straussa „Zemsta Nietoperza” w reżyserii Erdmanna H. Treitschke.

JAKIE OPERY GRAJĄ W BERLINIE

Bogaty program „Deutsches Staatsoper” w Berlinie w miesiącu styczniu przewiduje wystawienie następujących pozycji: Eugeniusz Oniegin — Czajkowskiego, Jaś i Małgosia — Humperlincka, Otello — Verdiego, Kopciuszek — Rossiniego, Madame Butterfly — Pucciniego, Traviata — Pucciniego, Śpiąca królewna — Czajkowskiego, Pajace — Leoncavallo, Sadko — Rimskij-Korsakowa.

Teatrze

NOWY BUDYNEK SZKOŁY TEATRALNEJ



Niedługo skończą się trudności studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, gdyż uczelnia ta zostanie przeniesiona do nowego obszernego gmachu przy ul. Miodowej. Przyszli aktorzy projektują zorganizowanie akcji przedstawień dostępnych dla szerokiej publiczności, które odbywać się będą trzy razy w tygodniu. Do tej pory były to przedstawienia zamknięte, traktowane szkoleniowo, mała scenka zmuszała nawet do specjalnej adaptacji wystawionych sztuk. W pięknym gmachu przy ul. Miodowej młodzi aktorzy będą mieli pełne szanse wykazania swych możliwości. Przedstawienia dla publiczności zainaugurują teatr szkolny w końcu stycznia wystawiając „Sen nocy letniej” Szekspira.

POLICJA I TEATR

Pamiętamy, jak niedawno policja wkroczyła do paryskiego teatru „Ambigu” zabraniając wystawienia sztuki R. Vaillanda „Pulkownik Foster przyznał się do winy”. Ostatnio prefektura policji poczuła się urażona afiszami teatralnymi włoskiej sztuki Ugo Betti, które pojawiły się na ulicach Paryża. Sam dramat wystawiony w teatrze Lancry właściwie nie budził zastrzeżeń; nie podobał się natomiast tytuł: „Korupcja w pałacu sprawiedliwości”, zatwierdzony przez cenzurę. Wobec tego czujni stróż sprawiedliwości poczęli po prostu

zdzierać afisze z denerwującym ich tytułem, tłumacząc w oficjalnym miejskim biuletynie że tego rodzaju nazwy sztuk niezgodne są z postanowieniem porządku publicznego!

Wszystkim

ROZBUDOWA RADIOFONII ALBAŃSKIEJ



Albania, kraj przed wojną niesłychanie zaniedbany kulturalnie otrzymał obecnie nową potężną radiostację, którą uruchomiono w Tiranie. Od czasu wyzwolenia kraju zbudowano rozgłośnie lokalne w Szkodrze, Vlorze i Korazo oraz innych miastach. Ogólna moc radiostacji albańskich jest obecnie 17 razy większa niż przed wojną, liczba zaś odbiorników radiowych zwiększyła się sześciokrotnie w porównaniu z rokiem 1938.

PEŁNE WYDANIE KORESPONDENCJI WOLTERA

Po raz pierwszy zostanie wydany pełny zbiór korespondencji Woltera. Wydawnictwo to przygotowane przez angielskiego pisarza M. Bestermana, pięknej.



MIMO trwania kalendarzowej zimy z przysłowiem „warszawskim tempem” rosną nowe bloki i osiedla. Wpływa na to nie tylko brak mrozów, ale i to, że dzięki doświadczeniom z lat ubiegłych opracowano nowe metody pracy przy niskich temperaturach.

Coraz silniejszym akcentem w budownictwie warszawskim staje się budowa Pałacu Kultury i Nauki. Najlepszym tego do wodom jest stała i liczna już od godzin porannych frekwencja na specjalnie dla widzów zbudowanym pomoście. Prócz konstrukcji stalowej części wysokościowej z charakterystycznymi dźwigami U.B.K., nieprzerwanie rosną mury części bocznych. Szybkość i koordynacja pracy, bez

objemuje 60 tomów. Pracującym nad tym dziełem patronuje Międzynarodowy Komitet i Muzeum Woltera w Genewie.

WIECZÓR SATYRY POLSKIEJ W PRADZE

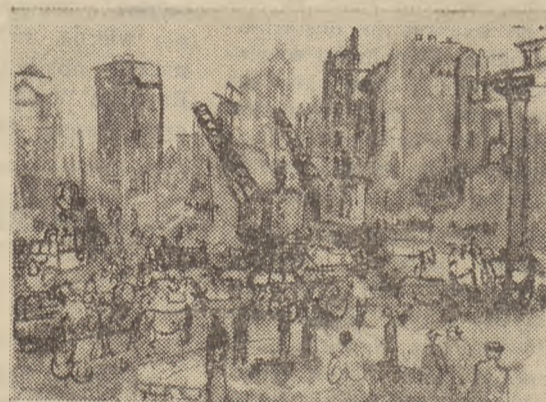
Niedawno odbył się w Pradze wieczór satyry polskiej. Na program złożyły się utwory satyryczne Putramenta, Minkiewicza, Tuwima, Grodzieńskiej i innych. Wieczór satyry polskiej spotkał się z niezwykle serdeczną oceną ze strony pisarzy, artystów, dziennikarzy i licznie przybyłej publiczności Pragi.

„SIEGOZBIÓR UNIwersYTETU W MOSKWIE

Biblioteka Uniwersytecka w Moskwie posiada jedną z największych księgozbiorów w ZSRR. Już wkrótce zostanie on przeniesiony do nowego wybudowanego gmachu Moskiewskiego Uniwersytetu. Biblioteka liczy wtedy będzie 1.200 tys. tomów. Zebrano wielką ilość dzieł z dziedziny filozofii, biologii, fizyki, chemii, matematyki, astronomii, geologii i geografii. Dużo miejsca w księgozbiorze zajmują również utwory literatury pięknej.

Grochów II i III przewiduje w I kwartale budowę 15 nowych bloków i olbrzymiej centralnej kotłowni. W pierwszym rzędzie ruszy budowa ul. Kołłątaja. Przy robotach tych na szeroką skalę zostanie zastosowany system potokowy.

Skonco już mowa o systemie potokowym, nie można nie wspomnieć o Ochocie, znanej właśnie z osiągnięć swych budowniczych w stosowaniu „potoku”. W tym roku rusza budowa jednej z ważniejszych arterii wylotowych Warszawy, ulicy Grójeckiej. Zbudowana będzie o szerokości 7—8 kondygnacji. Aby usprawnić i przyspieszyć budowę, przewiduje się montaż dźwigów wiozących, z których pierwszy wkrótce zacznie pracę.



jakiegokolwiek nerwowego pośpiechu, szarpnięcia czy widczynego wysiłku, wzbudza niekłamany podziw wśród obserwujących.

Pierwsza część przyszłego śródmieścia Wielkiej Warszawy M.D.M. rośnie i pięknieje z każdym dniem. Bliskie zakończenie są roboty w hotelu, w blokach 5A, 5B, 6F przy pl. Konstytucji. Spód rusztowań zaczyna się wyłaniać jasne, kolorowe elewacje bloków Marszałkowskiej na odcinku od Litewskiej do pl. Unii Lubelskiej. W stawie surowym zakończono budowę bloków przy ul. Partyzantów, Nowowiejskiej, pl. Zbawiciela, Marszałkowskiej. Zaczyna się budowę nowych bloków między pl. Zbawiciela a pl. Na Rozdrożu.

Nie pozostają w tyle i inne osiedla. Prócz szeregu osiedli M (Muranów, Młynów, Mirów, M.D.M.), wykończony już Mariensztat i Mokotów, budową których pasjonują się od dawna warszawiaczy, coraz większą rolę odgrywają nowe osiedla i obiekty.

Nie ustaje ruch na budowie znanych mieszkańcom Warszawy osiedli Praga, Koło czy Bielany, (mieszka już tam mimo, że budowę rozpoczęto niedawno 1.000 mieszkańców). Każdy dzień przynosi nowe osiągnięcia konkretyzujące się w nowych mieszkaniach, nowych budynkach socjalnych, w nowych gmachach szkół i wyższych uczelni.

Beniaminki „Warszawskiego Zagłębia Budowlanego” — o wiele dla mieszkańców Siedec i Południowej Dzielnicy Przemysłowej na Służewcu, które od niedawna włączają się do ruchu budowlanego Stolicy, dzięki ambicji swych załóg napewno w bieżącym roku odegrają w nim nieposłuszną rolę.

Trudno w krótkim felietonie skwitować olbrzymie, twórcze wysiłki ludzi i ogromną ilość materiałów tworzących razem termin „Budowa Stolicy”. Dla tego też o odbudowie Starego i Nowego Miasta, napiszę następnym razem.

(Zb.)

czytelnicy PISZA

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

Z przykrością i żalem stwierdzam, że w wyniku adiacji tekstu mego artykułu pt. „Współczesna plastyka polska w architekturze wrocławskiej”, umieszczonego w nr. 47(365) Waszego pisma całkowicie wypaczona została moja wypowiedź o obrazie Stanisła wa Pękalskiego. W szczególności opuszczona została większość zdań, podkreślających zalety tego obrazu i jej pozycję we współczesnym polskim malarstwie religijnym. Proszę o umieszczenie wypowiedzi mej in extenso:

„Na zakończenie pozostaje do omówienia płótno, znaczące drogę powrotu współczesnego religijnego malarstwa polskiego na tor przedstawianej cudów. Stanisława z Piotrowicem. Realizm Pękalskiego różni się bardzo od naturalizmu Włodzimierza Bartoszewicza. Pękalski zna wszystkie zdobycze impresjonizmu i kierunków późniejszych i obficie z nich czerpie. W głębi daje różnicę polski, bliski Chełmońskiemu i Malczewskiemu, pejzaż. Naro-

Postępowi plastycy francuscy nie ograniczyli się do zobrazowania tylko skutków „wielkiej kolonizacji”. Pokazali także w szeregu obrazach, naród walczący świadomie o swe prawa i wolność. Mówią o tym takie obrazy jak „Śpiasek w stodole”, „Kobiety z Oranu”, „Uratowany z masakry w Seif”.

Postępowi plastycy francuscy nie ograniczyli się do zobrazowania tylko skutków „wielkiej kolonizacji”. Pokazali także w szeregu obrazach, naród walczący świadomie o swe prawa i wolność. Mówią o tym takie obrazy jak „Śpiasek w stodole”, „Kobiety z Oranu”, „Uratowany z masakry w Seif”.

Proszę o łaskawe umieszczenie powyższego na łamach Waszego Pisma, aby chociaż w części zadość uczynić krzywdzie, która spotkała omawiane go przeze mnie twórcę i jego dzieło, a pośrednio również i mnie.

Proszę o łaskawe umieszczenie powyższego

Andrzej Jochelson

Wrocław, 4 grudnia 1952 r.

Redaguje zespół.

Prenumerata miesięczna 1,80 zł. Kwartalnie 5,40 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 i p. tel. 880 71 880 26

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 141, 4-B-10807.